


STANISŁAW ADAMGZEWSKI

POĘGI ROMANTYCZNI
W PROGRAMIE SZKOLNYM

Stanowemu Panu
 *Janowi Michalskiemu*
od autora

ODBITKA Z KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ PIERWSZEGO OGÓLNO-
POLSKIEGO ZJAZDU NAUCZ. POLONISTÓW W WARSZAWIE
W KWIETNIU 1924.

STANISŁAW ADAMGZEWSKI

POEGI ROMANTYCZNI
W PROGRAMIE SZKOLNYM



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

ODBITKA Z KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ PIERWSZEGO OGÓLNO-
POLSKIEGO ZJAZDU NAUCZ. POLONISTÓW W WARSZAWIE
W KWIETNIU 1924.



8158

Zacznę od stwierdzenia następującego zjawiska. Oto od paru lat niektórzy z naszych kolegów-polonistów uskarżają się na chroniczne niepokoje, których doznaje sumienie ich intelektualne oraz pedagogiczne — w związku z tak pięknym przecież i godnym zazdrości corocznym etapem naszego zawodu, jakim bywa lektura i interpretacja polskich poetów romantycznych na lekcjach szkolnych. O cóż tym osobliwym skrupulatом chodzi? Tacy już są! Powiadają, że niepokoje tego rodzaju nachodziły ich nieraz i przed wielką wojną, ale wtedy każdy jakoś uciszał je w sobie, „bo się bał, bo się bał, jak jesienny wicher dał, zaśby zwiądl róży krzak. . .“ Dziś, wobec przemiany w polskim życiu, której ogromu słowo wyrazić nie jest zdolne, dawne pociechy i kołysanki — im przynajmniej — już nie wystarczają, nie niosą uspokojenia. Snują się im po głowach bluźniercze wyrazy i heretyckie zamysły. Chcą więc z tych swoich grzesznych knowań spowiedź niejako uczynić — a proszą o względność, jeśli urażą serca hartowniejsze czy tylko szczęśliwiej stworzone. Tem silniej dopraszają się głosu, że nie sprawił sumieniom ich ulgi wydany właśnie okazały tom urzędowych wskazań metodycznych, bo — mówią — zawarty tam komentarz poetów romantycznych nie zmienia nic w praktykowanej dotąd, tradycyjnej ich interpretacji. Domagają się tedy wszczęcia dyskusji.

Rzeczy można właściwie: wznowienia dyskusji, gdyby nie to, że spór o romantyzm polski, co parokrotnie powracał w ciągu półwiecza, nigdy dotąd nie odbył się w warunkach — jak obecne, w warunkach poczucia pełnej i wolnej odpowiedzialności uczestników za zbiorową przyszłość i w warunkach płynącej stąd swobody moralnej; nigdy też dotąd spór się ten nie wyczerpał, a w pewnych wypadkach pozostał był tylko tragicznym mono-

logiem tych, co czas swój wyprzedzili i co nawet w niewoli zdolni byli myśleć pojęciami człowieka wolnego. Pozytywiści podjęli niegdyś sprawę w obliczu klęski i w imię rezygnacji, gdy my — szczęśliwsi — podjąc ją nareszcie możemy w atmosferze dziejowego triumfu i w poczuciu pełni praw, a więc i prawa swobodnego spojrzenia w oczy takim prawdom, których jasnego wzroku dawniej instynktownie się unikało. To też klęska romantyzmu przed pół wiekiem była tylko pozorna: z obozu mniemanych zwycięzców raz po raz wymykali się co świetniejsi do starych opuszczonych redut. Minęło jedno pokolenie — i znowu proces zadawniony wznawiają dwaj pisarze: autor Wyzwolenia i autor Legendy Młodej Polski; ale myśl pierwszego zagłuszył chochołowy taniec snobizmu, myśl drugiego — przeważnie przemilczano. Wreszcie (żeby już nie zostać historii dłużnym) przed samą wojną — wszczęto znów sprawę romantyzmu na niefortunnym gruncie popularnej publicystyki warszawskiej, to też zjelczała w miłym piaseczku pamfletowych wierszyków.

Dziś — sprawę romantyzmu wznawia się oto w kongregacji, pozostającej niejako pod własnym jego wezwaniem: podnoszą ją poloniści. W warunkach radykalnie zmienionych, bo będzie to nareszcie dyskusja ludzi wolnych, nie tylko politycznie, ale — miejmy nadzieję — i w duchu już nieskrępowanych. Podejmują ją wprawdzie tylko w zakresie dydaktyki szkolnej, a więc na gruncie praktycznym; to może jednak na dobre wyjdzie samej sprawie: tchnienie żywych zadań życia dodać jej może żywotniejszej cery, uchronić od czczej scholastyki czystego intelektualizmu. Zobaczymy zresztą. Dość, że sprawa ważna, nas polonistów obchodząca głęboko — toż my jedni żyjemy w tak ustawicznej i tak odpowiedzialnej styczności z ideologią i pięknem polskiego romantyzmu. Choćby nawet wynikiem podjętej rewizji miało stać się tylko zaaprobowanie dotychczasowych praktyk naszych w zakresie programu i interpretacji lektury romantycznej — już i to będzie korzyść ogromna: staniemy się odtąd pewniejsi i siebie i dróg swych i zadań.

*

Dyskusja zatem otwarta. Jej prolegomena niejako naszkicować — oto cel mego wystąpienia. Aby zaś nieporozumień uniknąć, ustalmy naprzód stanowiska.

Przedewszystkiem stanowisko nauki. Jeśli nie z wieku, to z urzędu pierwsza do apelu staje ta nauka, której badań przedmiotem, a poniekąd i wytworem, jest obchodzący i nas przedmiot: staje — historia literatury. Uważa się za przedewszystkiem powołaną do zabrania rozstrzygającego głosu wszędzie tam, gdzie jej przedmiot jest przedmiotem nauczania gdziekolwiekbądź, a więc i na terenie szkoły średniej. Stanowisko jej — w krótkim i nieco schematycznym wywodzie — możnaby (jeśli się nie myłę) tak oto odtworzyć: Celem nauczania literatury w szkole średniej jest przyswojenie uczniowi pewnego pensum wiedzy w tym przedmiocie. Co do programu, a więc wyboru tych lub innych partyj z całego dobytku danej nauki, to powinien on być oparty na zasadzie stopnia ważności naukowej faktów, stopnia ustalonego przez naukę. Tę naukowo uznaną hierarchję faktów naogół uwzględnia obecny program szkoły średniej: ustaliliśmy, że poezja polska zarówno pod względem wartości idei, jak i piękna, osiągnęła szczyt swego rozwoju w epoce romantycznej, słusznie więc program szkolny poświęca lwią część czasu i uwagi utworom wielkich poetów romantycznych; dalej, co do wyboru utworów każdego z wielkich poetów, słusznie przyświecała zasada ta sama: jeśli bowiem uwzględnić konieczność pominięcia na tym stopniu nauczania poematów zbyt trudnych (choć ważnych), to z innych, dostępnych poziomowi szkoły średniej, program naogół nie pomija (bo nie powinien pomijać) żadnego, który — według ustalonych danych nauki naszej — stanowi ważne ogniwo tak w indywidualnym rozwoju twórczości każdego z tych poetów, jak i w ogólnym rozwoju polskiej poezji romantycznej. Co się wreszcie tyczy interpretacji poematów w szkole, to powinna ona być możliwie ściśle (choć odpowiednio spopularyzowanem i skróconem) odtworzeniem tej naukowej interpretacji, jaka się dziś przyjęła i urobiła w nauce: a więc interpretacja ma mieć charakter historyczny i akademicki, t. j. fakty podawać w związku i oświetleniu genetycznym oraz strzec się nienaukowych wybryków — dygresyj w życie potoczne. I tu się sprawa gorzej przedstawia — zwłaszcza pod względem owego historyzmu, — za co też wczoraj udzielono nam pouczenia. Ale — prócz postulatów samego przedmiotu, inny jeszcze postulat wysuwają sfery

akademickie: są to potrzeby szkoły wyższej; szkoła średnia stanowi przygotowanie do studjów uniwersyteckich, a więc nie spełnia swego zadania, jeśli swych metod nie uzależnia od tych wymagań, które umysłowości przyszłego studenta stawia uczelnia wyższa, jeśli nie wyszkolią jego umysłowości wśród tychże metod, z jakimi tam, na poziomie uniwersyteckim, będzie miał on do czynienia. I tu już ma być zupełnie źle.

I jużbyśmy gotowi przyrzec najszczerzą poprawę; aliści ktoś inny z boku, już nie tak z wysoka, doprasza się w tej sprawie głosu. Uważa, że też ma tu coś do powiedzenia. Co zacz? Osobistość z pozoru dość niepokaźna: mianuje się pedagogiką. Niema rady, posłuchajmyż i jej; a wywodzi mniej więcej tak: Dawniej zgadzałam się z przedmówczynią tu moją — historją literatury (niedarmo bowiem przyszyliśmy obie na świat w tej samej rodzinie z jednego ojca, śp. racjonalizmu), dziś jednakowoż — zmieniłam przekonanie. Naprzód więc — uważam, że właściwem zadaniem szkoły średniej nie jest ani przygotowanie do studjów wyższych, ani samo tylko udzielenie pensum wiedzy w jakimkolwiek przedmiocie. Nie może być niem to pierwsze już choćby dlatego, że — jak liczby dowodzą — część zaledwie nieznaczna z wychowanków szkoły średniej (a nawet nie ogół jej abiturjentów) przechodzi następnie do szkół wyższych; większość ich kończy wykształcenie szkolne na całej lub niecałej szkole średniej, nie powinna więc podlegać rygorowi programu lub jego interpretacji, zastosowanym do specjalnych potrzeb szkoły wyższej, której progów nie przestąpi. Tem więcej nie powinna, jeśli — (i to względ najważniejszy) — tak pojęte zadanie szkoły średniej wypacza osiągnięcie przeznaczenia jej właściwego. A wypacza, zbyt ciężar kładąc w nauczaniu na jednostronną kulturę intelektu i przysporzenie erudycji, ze szkodą dla osiągnięcia właściwego celu. Jakiż jest ten cel właściwy? Daremniebyśmy o to pytali nauki czystej i jej przedstawicieli. A zwłaszcza nauki tego pokroju, co historja literatury i wogóle historja. Z charakteru jej zadań i metod wynika specyficzny jej stosunek do spraw świata. Bada ona, ustala, rejestruje, czasem ocenia dokumenty przeszłości lub niedawno minionej „teraźniejszości“. Szczęci się tem (a może nieraz tylko ludzi), że wyrobiła sobie kryteria naukowe, niezależne od zmiennych prądów doby bie-

żące ani od takich czy innych praktycznych potrzeb przyszłości. Tymczasem, decydować o zadaniu szkoły średniej to znaczy: stawać wobec teraźniejszości żywej, płynnej, nieustalonej, wiecz- nie pełnej niespodzianek, t. j. wobec młodzieży w wieku naj- żywszego jej rozwoju; to znaczy także, układając program szkolny, przewidywać, czem stanie się ta młodzież w życiu narodu, jako ludzie dojrzały (nie tylko zaś w ewentualnej dalszej fazie studjów); to znaczy wreszcie: program ten praktycznie wykonywać, tak go interpretując, aby przy jego pomocy tę żywą przyszłość na- rodu ukształtować. Cóż tu ze stanowiska swej kompetencji nau- kowej wyrokować mogą uczeni, historycy lub filolodzy, których naukowa kompetencja, i aktualna (wiedza zdobyta) i potencjalna (metody), dotyczy tylko przeszłości i jej dokumentów. Gdybyż jeszcze dokumentów historii pedagogiki, — a i ta zresztą ani żywego nurtu teraźniejszości ani przewidywania przyszłości w naukowe formuły ująć nie jest zdolna. Tego od nauki nie mamy prawa żądać. I tego też nie czyni ona sama, gdy we wła- ściwych swych granicach pozostaje. Rola jej zacznie się wtedy, gdy my — pracownicy szkolni — nowy twórczy swój ideał wcielimy w żywe ciało następnego pokolenia, gdy się wynik pracy naszej skryształizuje: wtedy dopiero historia literatury, względnie historia kultury umysłowej czy wogóle historia, za- bierze głos, aby przejawy nowego prądu, nowego ducha czasu stwierdzić i zanalizować. Będą one już w świecie faktów, do- stępnych nauce. Teraz są jeszcze w fazie tworzenia się i dojrze- wania. Tak więc ustalenie zadań szkoły średniej, sfera tworzenia przyszłości, leży poza nawiasem właściwego autorytetu nauko- wego badaczy literatury. Przy ustalaniu programu nauczania li- teratury zasięgamy wskazań ich nauki z tem zastrzeżeniem, że wystawione przez nich postulaty nie mogą być czynnikiem roz- strzygającym, gdyż podlegać muszą postulatom pedagogiki, w za- kresie każdego przedmiotu szkolnego — instancji decydującej i ostatecznej. A czemże jest pedagogika? alboż także nie jest tylko nauką? I nauką i nie nauką. Gdyby była tylko nauką, znów i ona okazałaby się bezsilną w postulowaniu celu wychowaw- czego, który, jeśli ma być konkretnie sformułowanym celem zbio- rowym, z epoki na epokę jest zmienny, zawsze inny, niż był kiedykolwiek, zawsze nowy i — w realnej całości swojej — do-

tąd niebывały. Nauką jest o tyle, o ile ułatwia poznanie swego przedmiotu, t. j. natury i osobowości młodocianej, o ile ułatwia przewidywanie skutku pewnych poszczególnych zabiegów pedagogicznych, których ogół dopiero prowadzi do zamierzonego celu, jaki szkole średniej stawia ten lub inny moment historyczny narodu. Ale cel ten gdy próbuje osiągnąć, zrealizować — staje się pedagogika już czemś więcej, niż nauką, bo umiejętnością praktyczną, techniką, czy, jeśli kto woli, pewną fazą twórczości. Fazą twórczości już wtórną. Tą mianowicie, w której artysta z powierzonego sobie a dobrze poznanego materiału wykonywa dzieło sztuki. Tę jednak fazę musi poprzedzić moment wcześniejszy, faza twórczości pierwsza i główna: koncepcja twórcza, idealny obraz tworzonego dzieła. I tu już ani wiedza teoretyczna, ani umiejętność praktyczna nie wystarczają. Tu trzeba twórczości. Tu musi powstać tak zwany ideał wychowawczy.

Nie może on być jednak schematyczny, niejako ogólnoludzki, powszechnie obowiązujący, niby ponaddziejowy, jak dawne ideały pedagogiki spekulatywnej, w rodzaju „równowagi wszystkich władz człowieka“, czy też „ogólnego wykształcenia“, czy znów „przygotowania do studjów wyższych“ i t. p. Z takich ideałów drwi rzeczywistość, wynaturzając je lub — co gorsza — marnując żywy ludzki materiał. W imię tych lub podobnych ideałów czyniono eksperymenty nad nami, w naszym wieku szkolnym; — i w systemie szkolnym u nas w Polsce, na takich ideałach przed wojną budowanym, zaledwie nieznaczne dotąd szczyrby poczyniono (nie mówię w teorii, lecz w praktyce). To też przeważnie gospodaruje on nadal — i tylko szczęśliwej odporności, przedziwnej żywotności natury ludzkiej przypisać trzeba, że nie pustoszy on dusz młodych doszczętnie, nie wyjaławia ich wszystkich — do ostatniej.

Tyle — ta druga rzeczoznawczyni, w naszej sprawie powołana. Zdaje się, że jej to przyznać wypadnie słuszność.

*

Jakikolwiek więc przedmiot nauczania w szkole średniej ma być tematem rozważań, jakakolwiek tego przedmiotu partja, program jej lub interpretacja, zawsze tu za drogowskaz służyć może tylko ten ideał pedagogiczny, który aktualnie przed szkołą

średnią stawiamy. Oto dlaczego te właśnie wywody, przypomnienie czy ustalenie tego zasadniczego stanowiska obrałem za punkt wyjścia, zamiast od razu przystąpić do ścisłego tematu: lektury romantycznej. Inaczej dyskusja zesłaby na tory jałowe. Aby więc znaleźć właściwe kryterjum do oceny dotychczasowego programu lektury romantyków i jej interpretacji — musimy jeszcze wprzód w krótkich słowach określić ten nowy ideał wychowawczy, który w dalszych rozważaniach ma nam przyświecać.

Jakiż ma on być? Czy znów ogólnoludzki, powszechnie obowiązujący? Jako się rzekło, nie. Czy może więc ogólnonarodowy, obejmujący wszystkie przyszłe pokolenia. Też nie: dotyczyć ma tylko tego pokolenia, które my wychowujemy. Gdy to dorośnie, podda z kolei ideał nasz rewizji, zmodyfikuje go lub zastąpi innym. Czy ma to być ideał statyczny — to znaczy dawać obraz tego, jakim ma być nowe pokolenie? Nie, powinien to być obraz dynamiczny, obraz tego, czego ma ono dokonać. I tu zasadnicza różnica między naszą postawą a stanowiskiem racjonalizmu pedagogicznego. Z tego dopiero, jakie zadania oczekują pokolenie następne, wysnuwamy wskazania o tem, co my powinniśmy mu dać. Nie zaś odwrotnie. I druga zasadnicza różnica to ta, że cel nasz będzie dotyczył nie jednostki tego pokolenia, ale pewnej jego zbiorowości. Bo zbiorowość społeczną, nie jednostkę wychowuje szkoła.

Jakąż tedy część ogólną polskiej zbiorowości wychować ma szkoła średnia? Jej t. zw. inteligencję, t. j. tę część społeczeństwa, która, bez względu na to, z jakich się klas rekrutuje, spełnia w niem rolę inicjatorów, organizatorów, regulatorów wszelkiej pracy w społeczeństwie, rolę ośrodków jej motorycznych lub organów pośredniczących, rolę duszy narodowej: twórców nowych jej wartości, inspiratorów i budowniczych, z drugiej zaś strony kierowników, pośredników i łączników między pracą duchową i fizyczną; słowem system nerwowy organizmu zbiorowego. A ten właśnie system nerwowy, który w społeczeństwie stanowi inteligencja, jest dziś widać najbardziej chory. Dla czego? Bo jak świadczą zeznania obcych, nasz pracownik fizyczny, gdy dostanie się w środowisko cudzoziemskie, gdy znajdzie się w orbicie systemu organizacyjnego innych zdrowych społeczeństw,

t. j. pracuje pod kierownictwem inteligencji obcej, pod naciskiem stworzonej przez nią organizacji, wtedy pracuje znakomicie, wykazuje produktywność normalną. A więc wychowanie nowej, innej inteligencji, któraby sprawniejszy mechanizm pracy zbiorowej wytworzyć u nas umiała, to zadanie niesłychanie ważne.

Czegoż ma dokonać ta przyszła inteligencja, którą my ukształtujemy? Prostu uczynić z Polski społeczeństwo, dostrzegające pod każdym względem tej wysokiej miary, którą stworzyły przodujące społeczeństwa świata. Oto jaką ambicję wpoić musi szkoła średnia w swych wychowanków, oto ku czemu rozmach, pęd i poprostu chciwość rozbudzić. Tylko: obraz tej przyszłości, którą ma zrealizować stworzona przez nas inteligencja, musi mieć kształty konkretne, jasne i dokładnie określone, aby móc nadać rozpęd młodym duszom. Musi on być w szczegółach sprecyzowany i ustalony zbiorową naszą myślą. Oto, dla przykładu raczej, parę rysów tego obrazu, szkic jego publicystyczny (skoro nie może to być — jak być powinien — natchniony poemat); — obrazu, który ustawicznie, z okazji niemal każdej godziny szkolnej, trzymać mamy przed oczami młodzieży naszej, wmurowywać go w jej dusze, tęsknoty ku jego realizacji rozpałać, drogi i środki ku niemu wskazywać i siły do jego osiągnięcia wyrabiać.

Oto więc ten tymczasowy szkic:

Ma się Polska stać sprawnym aparatem i doskonałą technicznie organizacją ześrodkowanej twórczej woli zbiorowej, czego nigdy dotąd na tej ziemi nie było. Zaczątki tej zorganizowanej woli mieliśmy w mniej skomplikowanej epoce — za Piastów i Jagiellonów, potem ta wola rozprzęgła się i zleniwała za rzeczypospolitej szlacheckiej, a szczątki jej rozbił najazd; teraz dopiero skupia się ponownie, ale działa jeszcze raczej odruchami i daleka jest od takiej siły zbiorowej w świecie, dla której mianoby cześć i respekt, której wysłańcy na różnych konferencjach przestaliby odgrywać poniżającą rolę ubogich krewniaków w rodzinie narodów, rolę klientów i petentów u narodów możnych i silnych. Trzeba więc sprawić, aby przyszła inteligencja polska do głębisierca zapragnęła i potrafiła ten stan rzeczy zmienić. Aby — za jej sprawą — osoba i imię Polaka budziły takie uczucia w świecie, jak dziś w naszej części Europy budzą obywatele najpotężniejszych państw świata. Aby produkt pracy polskiej, tak fizycznej jak umysłowej,

wywoływał uznanie i popyt w społeczeństwach obcych. Aby znak handlowy polski ręczył za wysoką wartość towaru. Aby wszelki wytwór polskiego rzemiosła i przemysłu samym wyglądem swoim wywoływał miłe wrażenie estetyczne i nacechowany był pięknem polskiego stylu. Aby „nawet“ polski papier procentowy i polski znak pieniężny, jako symbole polskiej wytwórczości, wzbudzały w świecie trwałą ufność i poszukiwanie. Żeby praca polska nie dostała się w pęta obcego kapitału, bo z tej strony grozi jej niewola, ta nowoczesna forma podboju narodów. Aby polskie warsztaty pracy stały się tak zasobne i technicznie wydoskonalone, aby instytucje przemysłowe, laboratorja, konstrukcje techniczne, zakłady naukowe stały na takiej wysokości, że uczyć się od nas będą przyjeżdżali cudzoziemcy, jak my dziś do nich jeździmy. Aby polska stała się twórczynią nowych zdrowszych form parlamentaryzmu; aby w szkolnictwie dzisiejszy jego system, marnujący ciągle młode siły i zdolności umysłu, należał wreszcie do smutnej przeszłości — i aby szkoły nasze poczęły wytwarzać nowy typ człowieka. Aby miasta i miasteczka polskie, te w założeniu siedliska nowożytnej kultury technicznej i umysłowej, na całym obszarze rzeczypospolitej uczynić przynajmniej takimi, jakimi są niektóre przypadłe nam miasta dawnego zaboru pruskiego, a na ich nowocześnie pomyslanej architektonice odcisnąć typ polskiego stylu: niech wygląd i poziom życia żadnego naszego miasteczka ani mieściny nie zawstydy nas więcej przed cudzoziemcem z zachodu. Niech gmachy naszych bibliotek i muzeów staną się tak liczne, zasobne i okazałe, jak przystoi tysiącletniemu istnieniu tyłomiljonowego narodu. Niech nasze Podkarpacie i Pomorze zakwitną szeregiem nowoczesnych lotnisk i uzdrowisk, niech staną się normalnym źródłiskiem wznawiania zasobów zdrowia fizycznego dla ducha narodu. Niech polskie instytucje naukowe, twórczynie myśli czystej i stosowanej, tak trwale i niezawodnie zaopatrzone będą w środki materialne, aby nie były zmuszone już nigdy uciekać się — ku wstydowi imienia polskiego — do żebrania publicznego, a nauka polska przestała być wiecznym klientem i kopciuszkim świata. Niech książka polska wartością swoją wywalczy sobie miejsce na rynkach świata, niechaj i na obczyźnie znajdzie chętnych odbiorców na równi z wytworami polskiego przemysłu. Niech mapa sieci kolejowej polskiej przestanie być potworem

i dziwowskiem świata. Niech bandera polska na morzach kuli ziemskiej nie będzie tylko egzotykiem i niech znajdzie godne siebie, szerokie i mocne oparcie w wielkich portach rzeczywistości. Niech wreszcie siła orężna Polski, dostatecznie i trwale zaopatrzona w nowoczesne straszliwe środki obrony, nigdy nie przestanie być tak groźna sąsiadom, abyśmy drżeć ustawicznie musieli o naszą przyszłość. I t. d. i t. d. „powieść nieskończona“.

Oto ku jakim celom konkretnym mamy ustawicznie zwracać spojrzenie naszych wychowawców, oto ku czemu budzić ich entuzjazm, oto w jakim kierunku siły ich rozwijać, a z wychowania w szkole średniej uczynić stałą niejako transmisję od zdrowej energii młodzieńczej ku tym właśnie zamierzeniom przerzucaną, aby już w młodych duszach szedł ku nim ruch. Niech obok entuzjazmu, znają i rozumieją realne siły nowoczesnego życia, niech wyrabiają w sobie poczucie rzeczywistości. Nie zaszczepiajmy w ich poglądzie na świat fikcyjnego rozdziału między duchem i materją; niech wiedzą, że duch o tyle tylko ostoi się w świecie, o ile materję opanuje, i to nie tylko w sobie, lecz i dokoła siebie; niech wiedzą, że to duch właśnie buduje mosty, zakłada koleje, tworzy miasta, organizuje naród w żywą i mocną siłę. A wtedy nie obawiajmy się o los najsubtelniejszych płodów ducha, o literaturę i sztukę: osypią one, jak kwiat bujny, zdrowe drzewo kultury narodowej. A może dokona się wreszcie to, że i one w ten sposób przestaną być tylko dodatkiem do życia, jego surogatem lub używką, może przywróci się im ich dawną funkcję społeczną, jak marzył ów samotnik, co to mówił: „I tak jak widzę przyszłą Polskę sztukę, Jako chorągiew na prac ludzkich wieży, Nie jak zabawkę tylko lub naukę“. Może w ten właśnie sposób z wiecznych dłużników cywilizacji zachodniej stawać się zwolna zacniemy jej wierzytelami.

*

Po co jednak ta cała tyrada? — zapyta nieco stropiony słuchacz. — Jakiż to związek między tym kiepsko skleconym artykułkiem, niby z dziennika politycznego, a przedmiotem obrad zjazdu polonistów, w szczególności ze sprawą lektury romantyków w szkole? Nie przeczę, artykułik mógłby być lepszy, ale też to tylko szkic i szkielet tego ideału wychowawczego, który — opracowany należycie — winien stać się miarą dalszej naszej

pracy w szkole. Utrzymuję, że wszystko, czegokolwiek tam młodzież uczymy i jak uczymy, jeśli tylko ta szkoła ma spełnić właściwe swoje zadanie, wszystko to powinno wytrzymać miarę i napór naszkicowanego wyżej ideału przyszłości, która czeka tę młodzież. Cokolwiek próby tej nie wytrzyma, odpaść lub zmienić się powinno, jako już nietylko bezużyteczne, lecz wręcz szkodliwe! Cóż dopiero, gdy mowa o przedmiocie, jak nasz, który tyle godzin szkolnych pochłania, który z natury już swojej — jeśli właściwie prowadzony — tak głęboko w umysłowość młodzieży przenika, tak wszechstronnie ma ją poruszać. Utrzymuję zatem, że nakreślony ideał — (istotą swoją, nie zaś niedoskonałą formą słowną) — ma stać się decydującym wskaźnikiem przy wyborze lektury, przy jej interpretacji, przy zastosowaniu tej lub innej metody, prowadzącej do opracowania i przyswojenia literackiego materiału.

Zdaje mi się, że tu odezwą się protesty: jakże? do tego, co nadewszystko miłujemy, do polskiej literatury romantycznej — o tak wysokim polocie ducha, do tych tak nieśmiertelnych zjaw piękna, tak wiekuistych tęsknot człowieczych, które literatura ta reprezentuje po wszystkie czasy, miałyby się stosować miarę tak ciasną, tak jednostronną i przemijającą, jak naszkicowany przed chwilą „ideał“? Zgoda na protest, gdyby chodziło o naukowe tej literatury badanie. Ale nauczanie szkolne nie może i nie powinno być spopularyzowaną kopją interpretacji akademickiej. Nie jest ono, jak w badaniu naukowym, celem samo w sobie. Ma być środkiem do zrealizowania aktualnego ideału wychowawczego.

A naszkicowany ideał — w koncepcji swojej — nie jest ani jednostronny, ani ciasny. Nie jednostronny, bo nie przewiduje stworzenia jednego tylko typu człowieka, lecz typów tak rozmaitych, jakich tylko wymaga wszechstronnie natężone życie zbiorowe współczesnego narodu; — ale zarazem uświadamia młodzieży realne tego narodu potrzeby, z ich stanowiska wszystko ocenia, więc — nie będąc jednostronnym — jest jednolity. Nie jest ciasnym, bo wskazuje, jak służyć ludzkości całej jedynie skutecznie, to jest wrastając w potrzeby narodu a przez jego medjum w kulturę powszechną — jak służyć jej na gruncie najbliższym sobie i najdroższym. Dalej, trwale wiążąc wyobraźnię młodzieży z konkretnymi i realnymi zadaniami, które ją czekają,

wprowadzając mocne skojarzenia między każdodziennym jej wysiłkiem a przyszłą jej pracą — jest aktualny i żywotny. I to po-
czytuję za najwyższą jego zaletę. Obca mu abstrakcyjność, anemja,
bladość i fikcyjność dawnych ideałów pedagogiki spekulatywnej.
Przypomnijmy jeden taki, i to niebyle czyj, bo Trentowskiego.
„Wiedź ducha twojego wychowawca coraz wyżej, przez wszystkie
połęgi i stopnie rozwikłania aż do unji z bezwarunkowym du-
chem Boga. — Rozwiń zupełnie, ile podobna, wszystkość nie-
skończoną w istocie twęgo wychowawca, — zrób go Pantejo-
nem, Pantokosmem i Panantropem w jednostce“. Jest to cel po-
rywający myśl, ale utopijny i aprioryczny, bo ponaddziejowy
i pozaspółeczny. W przeciwieństwie do tego jest nasz ideał pra-
gmatycznym, bo mierzy wartość człowieka realnymi potrzebami
jego konkretnego środowiska i określonej dziejowej chwili. Jest
wreszcie — i to może najważniejsze — jedyny i niezbędny: jest
tak bezwzględny i twardy, jak życie współczesnego nam świata.
W ostatecznym bowiem swym sensie powiada on tyle: jeśli
takiej właśnie inteligencji, mogącej podołać przynajmniej lwiej
części wskazanych zadań, nasza szkoła średnia nie wytworzy, —
wówczas państwo, naturalny organ i ochrona życia narodu, nie
ostoi się we współczesnym świecie: jego położenie geograficzne
nie pozwala mu być małym, słabym i biernym, bo znów zginie,
a że nie jest światu bezwzględnie potrzebne (przeciwnie, sąsia-
dom swoim zawadza), zginie tedy — nie tylko dla narodu, lecz
i dla ludzkości, do której dorobku wnieść ma swój nowo-
czesny udział. Uchronić je od tego, uczynić je silnym, zdrowym
i światu potrzebnym, może tylko wychowana przez nas inteli-
gencja.

Druga to taka chwila wyroczna w dziejach naszych, kiedy
przez wychowanie mamy być zagrożony państwa ocalić i umocnić.
Pierwszą podobną były czasy Komisji Edukacyjnej. Ta zamie-
rzonego dzieła spełnić nie zdążyła. My zdążyć powinniśmy.

3

Chodzi więc o tę przyszłą inteligencję, organizatorkę życia
narodowego w państwie. Cóż zrobić my dla niej możemy na
naszych lekcjach literatury? Zwłaszcza w tych dwu najwyższych
klasach szkolnych, gdzie czyta się i rozbiera niemal wyłącznie
trzech wielkich naszych romantyków?

A naprzód, dla lepszej orientacji, zapytajmy, jak to nas, obecną inteligencję, wielka literatura nasza wychowywała? Zawdzięczamy jej, w istocie, niezmiernie wiele. Dla wielu z nas była ona prawdziwie „i mlekiem, i miodem, i żółcią, i krwią duchową“. Wzmagiała w nas poczucie dumy narodowej. Kazała nam wierzyć, że byliśmy w dziejach rycerzami świata, że świat to jest dłużnikiem naszym, nie my jego, a łazarzowi narodów pozwalała marzyć, że będzie on — że już jest — królem symbolicznym świata. Duma, którą w nas utrzymywała ta literatura, była rodzajem dumy, w pewnych okresach naszego bytowania bezpieczeństwa jedynie dostępnym i możliwym. Krzepiła w nas wiarę, że „przyjdzie cud i zbawi lud i rozraduje świat“, że już oto nadchodzi przedświt marzonego dnia, że tylko patrzeć, jak się „ranek przepołudni w bieluteńki dzień“. A tymczasem, póki trwała nad nami noc dziejowa, podtrzymywała w nas niezłomny bunt przeciw wrogowi, przeciw całemu zbójcekiemu światu. Jakże to? — „bunt nieśmiertelny w łzach i krwi przed wrogiem“.

Ale — też i skłóciła nas z życiem, ze światem. Przyzwyczaiła do buntu lub izolacji. Wyrobiła w niejedynej z nas skłonność do nadmiernego intelektualizowania, do pryncypjalizmu i maksymalizmu w ujmowaniu i ocenianiu życia zbiorowisk ludzkich, skłonność do aprioryzmu w myśleniu o Polsce. Kiedy — w naszych olśnionych oczach — poczęła wstawać Polska do życia państwowego, organizować na nowo wolny swój byt — nie przeczę, że inteligencja niejednokrotnie dawała i daje dowody dzielności swej żołnierskiej i obywatelskiej, że ona to nadto wyłoniła garstkę mniej lub więcej zdolnych organizatorów, mniej lub więcej sprawnych polityków; — ale wielu z nas, i to z uzdolnień nie najgorszych, nosiło i nosi dotąd rozterkę w sobie, niepokój, zawód, rozczarowanie. Nie dał się jakoś słyszeć „płacz ogromny zmartwychwstania“, i nie ustały „w chrześcijaństwie wojny“, i nie stało się tak, że „rzuciwszy miecze, siedli rozbrojeni rycerze nasi“, nie nastąpiła powszechna arkadja świata, nie rozprężyły się ramiona od wysiłku, nie nadeszła era spoczynku. Przeciwnie, rwący, zbałwaniony nurt historii żywej wdarł się w stojącą sadzawkę dawnego naszego życia i zmusił do ustawicznej czujności, do ciągłego wysiłku i twardej pracy koło sypania grobli, umacniania brzegów, żeglowania wśród gwałtownych prądów i wirów. Jakoś niezawsze można było dać temu rady.

I szły „przebiegi zdarzeń, dalekie, dalekie od marzeń“. „I coraz podlej na tej ziemi było“. Jakieś upokorzenie gryzące zalegało duszę niejednego z nas, kiedyśmy z Polską żywą, z upokarzającym stosunkiem obcych ludów do niej, zestawiali w myśli ów niebiański z „Przedświtu“ korowód ludów, klękający przed „planety archaniołem“. I w tej rozterce między romantyzmem poezji a realizmem życia — niejeden z nas stawał po stronie poezji, uważając za niegodne zniesienie lotu, za rezygnację z idealizmu — przyznanie racji — życiu i jego realnym, dziejowym prawom i siłom. Krzew róży już odkwitł nanowo, a że wydaje nam się nieraz jakiś karłowaty, że robaki go jedzą, przeto wolimy przyznać wyższość marzeniu naszemu o tym krzewie, wypiaستowanemu w nas przez spowijającą go niegdyś pałubę słomianą. I usypiający czar chochoła nad nami trwa. Gorzej, że często nie zdajemy sobie z tego sprawy, jak bardzo trwa. Jak różne maski przybiera, aby nas podawnemu zwodzić i łudzić.

Nie wątpię, że są wśród nas tacy, co uważają się za przygotowanych w całej pełni do tych twardych, trudnych i odpowiedzialnych warunków, wobec których świat nowoczesny stawia wolny naród, chcący utrzymać swą państwowość. Winszuję im i zazdrozczę. Myślę jednak, że niewielu jest takich, coby ogół dzisiejszej inteligencji polskiej uznali za świetnie uzdolniony do pełnienia tych zadań organizatorskich, kierowniczych, pośredniczących lub wychowawczych, które na nią państwowość nowoczesna wkłada. Myślę też, że niewielu jest takich, coby uważali za wystarczające stworzyć przyszłą inteligencję polską na nasz obraz i podobieństwo.

Wielkie przed nami zadanie, jako przed wychowawcami tej przyszłej inteligencji. Sądzę, że jego spełnienie przez nas tak czy inaczej zadecyduje o losach dalszych młodej państwowości polskiej. I dobrze jest poczucie tego posłannictwa uświadamiać w sobie i ożywiać. Dlatego trzeba nam być twardymi: w świetle białego dnia, w którym nareszcie żyjemy, przyjrzeć się trzeba każdej myśli, zrodzonej w mrokach niewoli, choćby nas samych wiązała wobec niej dług wdzięczności, zaciągnięty w latach nieszczęścia, — przyjrzeć się bacznie, czy dla wychowanków naszych będzie ona pokarmym duchowym, wzmagającym siły do tego życia, które ich czeka.

Pamiętajmy, że polska poezja romantyczna jest nie tylko tworem genialnych jednostek, ale równocześnie jest też produktem niewoli, może więc zawierać toksyny, niebezpieczne dla zdrowia narodu wolnego. Nie ulegajmy ani niewolącemu czarowi piękna, ani długoletnim nałogom myślowym i głęboko w umysł wkorzenionym słownym formułom — wszystko to teraz pójść musi pod światło, — nie ufajmy więcej sugestji autorytetu wielkich nazwisk, popartego przez autorytet uznanych krytyków literackich, — choćby niejedne, podawane przez pierwszych prawdy i myśli, — przez drugich nieodwołalnie ogłoszone zostały za wiekuiste, ogólnoludzkie i niepożyte.

*

Pokochać życie wytężone mają wychowankowie nasi, poznać i zrozumieć czynniki nowoczesnego bytu narodów, czynniki realne ich siły ekonomicznej, politycznej, kulturalnej, muszą temu konkretnemu życiu, pełnemu twardego trudu i ziemskiego wysiłku, uczynić z głębi ducha ślubowanie, muszą je w sobie, takie jak jest, zaaprobować, — a tymczasem lektura romantyków zaprawia ich nieraz do negacji życia Europy nowożytnej, negację tę wpaja w duszę słowa żarliwymi, płomiennymi i sugestją dziedzicznego pietyzmu dla tych, którzy tę negację w tonie Savonaroli głoszą, a którzy słowa aprobaty gorącej znają tylko dla odległej lub znikającej w ich oczach przeszłości albo dla dalekiej utopji — epoki trzeciej dziejów — Królestwa bożego na ziemi — ery świątobliwego marazmu — „żywota ducha na księżycu“.

I cóż, że uczy ta literatura młodego swego wyznawcę, iż dola i życie i prawa jednostki uzależnione są od związku jej ze zbiorowością, która ją wydała, — kiedy te związki ukazuje w postaci fikcyjnej i sugeruje urzekającymi środkami wielkiej poezji, że i on, czytelnik, tak jak ona, te związki ma pojmować. Boć czynem przyszłym naszych wychowanków ma być trud ziemski, codzienny ustawiczny wysiłek nad potęgowaniem dobra i siły narodu, tymczasem literatura ta wpaja w nich najosobliwsze pojęcia o czynie: albo ogólnikowe i beztreściwe wezwania („idź i czyn“ — „wstańcie czyny moje“ etc.), albo czyn, efektowny, epokowy, przewrotowy, jednym porywem ducha dokonany, „jednym stań się z bożej mocy“; albo znów czyn jako cud magiczny; albo wreszcie czyn, jako wyłączne skupienie się

w sobie, „hora“, poczytywanie własnego ducha za jedyny owocny teren czynu — „powiększanie i polepszanie duszy własnej“, — a wszystko inne będzie już samo przydane; i wpaja ta literatura nastrój oczekiwania na cud dziejowy, na przewrót, na rewolucję lub wojnę, — kiedy młody czytelnik ma wiedzieć, że byt i los jego narodu, siła i trwałość jego państwa zależy tylko od jego drobnych czynów realnych, od nieustawania w obowiązku potocznego życia, od czynnego poczucia odpowiedzialności, od wysiłku ustawicznego, który ma zdążyć ku temu, aby uniezależnić dolę narodu od przypadku, od samowoli czyjejkolwiek, — tu zaś budzą w nim kult ku marzonemu zbawcy narodu, który wszystko za wszystkich odrobi. Działać ma ten przyszły inteligent w świetle słońca dziennego, w atmosferze wolności demokratycznych i poszanowania prawa, które współczesny obywatel nadaje przecież sam sobie przez swoich mandatarjuszów, — a wlewa mu się w duszę czar spisku, złowróbnny a pociągający; „zgniły wyziew“ ciemnic konspiracyjnych — urokiem wielkich talentów — duszę młodą owiewa i nęci; w aureolę heroizmu przybrani przesuwają się przed zapatrzonemi w wizję młodemi oczyma wielcy i mali konspiratorzy: i Wallenrod, i Kordjan, i Irydjon; oto patronowie, czuwający nad kolebką przyszłego wolnego obywatela!

W zakresie pojęć życia zbiorowego, pojęć historycznych czy moralnych, operuje ta literatura fikcjami dziwnie uproszczonemi, symplifikacjami, które może już wtedy, gdy powstały, były też tylko ułudą. Cała jej ideologia w zakresie stosunków międzynarodowych oparta na takich uproszczonych antytezach, jak: wojna zaborcza lub braterstwo ludów, piekło dziejowe lub wymarzona sielanka, — tak, jakgdyby — obok podboju i zaboru orężnego — nie istniał pokojowy podbój ekonomiczny, który, równie jak tamten, stanowi o wolności i kwitnieniu narodu lub o jego zubożeniu, niewoli i usychaniu. Ale bo też ten czynnik gospodarczy życia narodowego z bezgraniczną pogardą lekceważy się w tej literaturze, znowu postługującej się tu fikcyjną antytezą: duch a materja; jakgdyby nie w dziedzinie opanowania materji, gospodarczego i technicznego życia, jego kultury materialnej — wyrażała się siła ducha zbiorowego narodu, jakby nie w jego organizacji wytwórczej był wyraz trwałego wysiłku ducha, — i jakby nie przez ten wysiłek ducha zbiorowego w dzie-

dzinie materji zakładała się możność ciągłego i systematycznego rozkwitu kultury duchowej i skutecznej ekspansji tej kultury na inne ludy. A oto wśród wielu podobnych fikcyj — żeby przestać na dwu tylko najznamienniejszych przykładach — inna jeszcze, szczególnie nieznośna i niebezpieczna: to owa niższość Europy w porównaniu z nami, którą wmawiają w uczniów naszych i Księgi i Przedświt i Psalmy. Więc jakże? Przy kursie literatury staropolskiej mówi się im o „naszej młodszości cywilizacyjnej“, o tem, żeśmy w rozwoju cywilizacyjnym szli w pewnych okresach spóźnieni o pół wieku za Europą, w czasach saskich — może o półtora, — aż tu nagle — przy kursie romantyzmu — przeganiamy świat, „ubrani w śnieżne przedchrześcijańskie blaski nadeuropejskiej cnoty“ i z takim pobleżaniem lub znowu wzgardą patrzymy nań z odległości pierwszeństwa czy pierworództwa! Oto co o rzeczywistości mówi socjolog i ekonomista ¹⁾: „Już trzecie pokolenie narodów mocnych pracuje nad kompletnym gospodarczym podbojem świata, ale bierne, słabotwórcze i ciemne narody i ludy — nawet u siebie w domu staną się już tylko sługami i dłużnikami obcych. — Metamorfoza świata dokonała się ponad naszymi głowami, byliśmy przy niej nieobecni, i stąd niedowierzanie nawet: czy rzeczywiście wszystko się zmieniło tak bardzo dla nas na gorsze?“

I niech mi nikt nie mówi, że wszystko to, co czytamy z uczniami naszymi w zakresie liter. rom., to tylko poezja — i że można to jak poezję traktować. Bo Księgi narodu i pielgrzymstwa, bo rozprawa wstępna Przedświtu — to już nie poezja, ani z intencji autorów, ani z działania tej sugestji, którą do dziś dnia narzuca nam nauka akademicka — i w monografiach i we wstępach krytycznych do wydań. A ta sugestja, usankcjonowana przez autorytety, udziela się i nam — i uczniom naszym, — sugestja o prawdach wieczystych, o niepożytej mądrości, zawartej przez tego lub innego z wielkich pisarzy w jego „ewangelji“, w jego apostołstwie, głoszonych po to, aby naród polski „nie zbłądził“. Jakże my więc kształcimy budowniczych przyszłej Polski na tej rymowanej publicystyce Psalmów albo nierymowanej socjologii Ksiąg? Wpajamy w nich takie oto zasady: „głupie i zepsute“ są narody, co się

¹⁾ Erazm Majewski.

kłaniają „bałwanowi najbrzydliwшему ze wszystkich“, którego imię „interes“, interes narodu; a „synem zguby“ o imieniu „anty-chrystowem“ i „przekłętym“ był ten mąż stanu, który postawił zasadę: „Krew i pieniądz narodu mego do mego narodu należą“. Śmiem sądzić, że z ogromnym niepokojem przekazalibyśmy losy odzyskanego państwa pokoleniu, któreby się do głębi przejęło takim właśnie stosunkiem do interesu narodowego, któreby przejęło się tem dalszem apostolstwem pogardy dla „gospodarności i rządności“, dla „panowania na morzu“ i „okrętu“, dla „handlu książek i handlu wina i bawełny“, dla „wygodnych karczem, pięknych teatrów i szerokich dróg“, dla całego wogóle tego odpychającego „kramu“, jakim dla romantycznego psalmisty jest życie nowoczesnego narodu.

I cóż to pomoże, że równocześnie czyta się piękny rozdział z Książki o owych lekarzach-doktrynerach, co tylko ze stanowiska swej doktryny spojrzeć umieli na chorą ojczyznę; cóż to pomoże, jeśli nawet odczytamy i omówimy z uczniami ów sławny ustęp z Prelekcji paryskich, potępiający doktrynę, co tak przychodzi mówić: „nie macie potrzeby pracować więcej, zdobyliście już wszystko, przy świetle tego jednego promyka możecie iść do końca świata“. Zbyt słabe będzie takie antidotum, — skoro niemal cała ta literatura, którą przez 1½ roku podajemy z takim pietyzmem naszej młodzieży, przepojona jest nie tylko miłością ojczyzny, ale właśnie — również i doktryną. (Niedarmo Słowacki, mający z tych trzech wielkich najwięcej krytycyzmu, i mnicha Bonifata w poczet sekciarzy zaliczył).

I niech mi nikt nie mówi, że przez lekturę tej poezji udzielają się młodzieży właśnie piękne uczucia, nie doktryna, nie zamącenie zdolności poznawczych. Boć nie o nastroje przelotne chodzi, ale o trwałe dyspozycje uczuciowe, a tych nabywa się nie przez lekturę (o czem będzie dalej mowa). Natomiast lektura naszych romantyków jeśli już nie doktrynę zaszczenia, nie anachroniczny pogląd na świat, nie swoją socjologję czy historjozofję, najniebezpieczniejszą pod słońcem, zwłaszcza dla narodu młodego, dla państwa na dorobku, — to w każdym razie przez swój scholastycyzm w myśleniu o tych sprawach, przez osobliwą teologję polityczną — gruntuje w młodych umysłach skłonność przyrodzoną do intelektualizmu i werbalizmu, do tych właśnie

wad, z którymi tak słusznie — w imię dzielności przyszłych pokoleń polskich — wystąpiły do walki nasze władze oświatowe.

*

Więc jakże? Nie mieliżby ci wielcy tak do cna racji? Myliliżby się tak doszczętnie?

Nie! nie mylili się wcale! Paradoks? Ani trochę.

Porozumiejmyż się. Niema w zakresie życia narodów prawd pozadziejowych, ponadhistorycznych, wieczystych. Każda epoka wytwarza swoją własną zbiorową prawdę. Ta się przełamuje przez wielki pryzmat życia narodu, aktualnego jego położenia i potrzeb, — a wśród narodu przez mniejsze pryzmaty dusz jednostkowych. Byli więc oni — ci trzech wielcy — całą i rzetelną prawdą epoki swojej — epoki od wielkiej rewolucji przez lipcową do lutowej, epoki włosny ludów. Byli tam tej epoki całą prawdą i najwyższe jej piękno w sobie skupili. W tem ich wielkość nieprzemijająca. Ideologia ich była prawdą w epoce, gdy ludy buntowały się przeciw absolutyzmowi rządów własnych i uciskowi obcych, kiedy pod hasłem braterstwa ludów sprzymierzały się z sobą przeciw tym rządóm, — ludy, wtedy dojrzęły już myślą do odpowiedzialności za same siebie, ale nie dojrzęły jeszcze późniejszym doświadczeniem, nie rozumiejące jeszcze, że ich wzajemne współzawodnictwo, walka o byt (niekoniecznie zresztą orężna), jest naturalną funkcją żywotnych zbiorowisk, nie zaś tylko przewrotną intrygą panujących. A kiedy te ludy — w zdrowem samolubstwie — nie myślały jednak walczyć (obok swojej) i za cudzą wolność, gdy zajęte własną polityką, poprzestawały na życzliwych dla Polski manifestacjach lub układaniu „Polenlieder“, na „ludzeniu jej błyskotkami“, i gdy ta zapadała w coraz straszliwszą otchłań niewoli, — mieli postokroć rację ci wielcy, że nie kochali takiego życia, że nie aprobowali takiego świata, bo ta aprobata byłaby wtedy uznaniem przemocy, dokonywanej nad ich ojczyznę. Mieli rację, że punkt ciężkości pracy dla narodu przenosili do wnętrza duszy, boć czuli się w istocie na emigracji ową duszę narodu, która opuściła ciało i wywędrowała na zachód. Mieli rację, lekceważąc znaczenie materialnego bytu narodu, skoro działanie w jego sferze było dla nich niedostępne; a jeśli dla którego z nich mogło być dostępne (jak dla Krasińskiego), ten skazywał się na dobrowolną emigrację myśli w sferę marzenia, wysoko ponad realne

„piekło“ ziemi. Mieli rację, gloryfikując to spisek, to cud, to świętość, to ascezę, bój i zwycięstwo z ziemi przenosząc za błękity, — bo to wszystko wtedy — jedynie chroniło od rozpaczki lub zaprzaństwa. Przemodne życie historii i ich niosło i naród cały na swej fali, a nie mogąc tem życiem kierować, mieli rację, stwarzając złudzenie, że oni mają słuszność, nie świat — ten świat wrogi, co prawem swej żywotności brutalnie przerwał był niegdyś sielankę szlacheckiej prostracji. Mieli więc rację, oni — synowie owego „narodu starego“, głosząc apoteozę polityki starszlacheckiej, starszlacheckiego obyczaju — wbrew nowoczesnemu światu. Mieli wtedy rację, deifikując swój naród, „tak na krzyżu, w majestacie“ wynosząc go ponad inne, stwarzając system megalomanji narodowej, kultu urojonych cnót i fikcyjnych zasług wobec świata. Mieli rację, apelując do wieczności, do czystego ducha, do zaświata. W ten sposób wzmacniali instynkt samozachowawczy narodu. „Zsyłali na lud swój, wyniszczony bojem, sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem, — rozwieszali nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy“, wprawiali go w błogi stan halucynacyj sennych. Stąd to działa ta literatura, jak narkoza, jak opjat — pożyteczny niegdyś dla organizmu chorego.

Ale czy ten sam środek, z takim zapałem dzisiaj ordynowany i aplikowany młodzieży narodu powracającego do zdrowia, w którym krzepnąć mają siły — nie staje się wreszcie szkodliwym? Tem bardziej, że ideologia romantyczna ubrała się w Polsce w niewidziane nigdzie tęcze poezji, w tak oszałamiające piękno? Bo nigdzie na świecie romantyzm nie trafił na tak podatny grunt, na tyle swobody dla swego lotu. Pomyślmy tylko: być narodem bez państwa, bez rządu, bez siły, bez teraźniejszości, zapatrzonym w przeszłość, rozmarzonym o przyszłości — czyż może być bardziej bezgraniczna swoboda dla ducha poezji? Być poetą bez ziemi, bez kontaktu ze społeczeństwem, poetą, co tyle tylko polskości i swobody może uchronić przed zgubą, ile jej ma w sobie, ile jej z siebie wysnuje — czyż może być szaleńszy bezkres dla fantazji? Stądto nigdzie na świecie romantyzm nie rozbłysł taką wspaniałością piękna, takim rozmachem ducha, wyzwolonego od wszelkich krępujących więzów. Oto niezniszczalna wielkość polskiej poezji romantycznej. Oto zarazem jej niebezpieczeństwo wychowawcze — dzisiaj. Tem większe, że

takim czarem fascynującym przemożne. Poetycki system wychowania, stworzony dla narodu w niewoli — tem szkodliwszy dla narodu wolnego, że do dziś napawa uwielbieniem dla istotnych w swoim czasie zasług wychowawczych, że ludzi autorytetem rzekomych prawd wiekuistych.

*

Zgoda! — odpowiedzą mi na to — ideologia romantyczna może być dziś niebezpieczna, ale tylko wtedy, gdy się ją podaje młodzieży w sposób anhistoryczny, oderwany od dziejowego podłoża, od poznania tej ewolucji kulturalnej, na tle której powstał, dojrzał i rozkwitł romantyzm. I tu — na pierwszy rzut oka — mieliby rację zwolennicy metody historyczno-literackiej w nauczaniu literatury. Historyzm właśnie to środek jedyny, aby stępiać ostrze wszelkiego dogmatyzmu, z historyzmu rodzi się — pożądanym w tym wypadku — sceptycyzm względem przebrzmiałej ideologii, z niego powstaje spokojny obiektywizm, który dzieła ludzkie czyni mniejszemi, tonuje ich jaskrawe barwy, pozbawia urojonych pretensyj do nieomyślności. Gdybyż istotnie taki wpływ wywierać mogły syntezy historyczne romantyzmu polskiego, stworzone przez naszą naukę akademicką! Jak dotąd, ów postulat obiektywizmu spełnia polska historia literatury tylko tam, gdzie poprzestaje na badaniu filjacji literackich, na dochodzeniu własności i pochodzenia pomysłów i motywów poetyckich, czyli na spełnianiu tej funkcji, którą stary Małeckie nazwał był „policią literacką“. Gdy zaś chodzi o wprowadzenie pierwiastka historycznego przy szkolnej lekturze romantyków, spełniłby on swą pożyteczną rolę tylko wtedy, gdybyśmy mieli taką syntezę romantyzmu polskiego, któraby była: już nie obiektywnie naukową (syntezy takie zawsze są konstrukcjami sztucznymi, poematami nauki), ale — syntezą epoki romantyzmu polskiego, podjętą z prognozy nowej epoki życia narodu, co się właśnie rozpoczęła; któraby była z perspektywy nowych zadań i potrzeb narodu rzuconem spojrzeniem wstecz — na romantyzm polski. Takiej syntezy historycznej dotąd nie mamy, i nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy mieli. Możeby tak pojętą syntezę romantyzmu badacze nasi uznali za obniżającą powagę nauki. Tymczasem zaś wszystkie te syntezy historyczne romantyzmu, które mamy do rozporządzenia, zajmują względem romantyzmu stanowisko raczej immanentne, to znaczy przepojone są mniej lub wię-

cej szczerym i głębokim kultem dla tego kierunku, dla jego pojmowania świata i życia, nie tylko dla jego wartości artystycznych. Ten kult tak czy inaczej zabarwia sądy szczegółowe i ogólne konkluzje o wartości ideologicznej czy to sławnych dzieł i poszczególnych poetów romantycznych, czy to całego tego kierunku. Ten kult i pietyzm dla ideologii rom., ciągle jeszcze ożywiający naukę naszą, jest wyrazem minionej już epoki życia zbiorowego. To też kto kształtuje nową epokę tego życia, kto, jak my, urabia nowe pokolenie do nowych, niebywałych dotąd w takiej rozciągłości zadań, kto dla tych potrzeb ideologję romantyzmu uważa za niebezpieczną, — niewielką ten pomoc znajdzie w takim stanowisku względem romantyzmu, jakie zajmuje dzisiaj nasza historia literatury. W najlepszym razie znajdzie tam ostrożne powstrzymanie się od krytyki rzeczowej (nie mówię — formalnej). To też, jak sądzę, nienajlepiej się stało, iż w świeżo wydanym komentarzu urzędowym do programu literatury na gimnazjum wyższe autorstwo odnośnych rozdziałów powierzono uczonemu o typowo akademickim stosunku do zagadnień romantyzmu (do tej zresztą sprawy jeszcze wrócę).

*

Gdy więc historyzm, jako podstawa interpretacji romantyków w szkole, zawodzi, już nietylko ze stanowiska ogólnych względów dydaktycznych, o których mówi K. Wóycicki, ale — jak widzieliśmy — w naszym wypadku poprostu dlatego, że nauka nasza skąpi nam dziś pożądanego w tym kierunku oświecenia, — to może — dla osłabienia niebezpiecznych dziś wpływów romantyzmu, wskazany byłby — jako taka podstawa — konsekwentny estetyzm. To znaczy: niech sobie uczniowie nasi poprostu czytają wielkich poetów, niech się upajają czarem ich piękna, niechaj skala odczuwania w młodych duszach rośnie, wyobraźnia nabiera polotu, a o życie dalsze tych przeżyć, o wnioski praktyczne — już się nie troszczmy. Analizę i komentarz ograniczmy do ram rozbioru estetycznego. Dyskusyj nad wartością ideologii romantycznej nie wszczynajmy, nie popierajmy, krytycyzmu nie budźmy, boć to wszystko osłabia czystość i świeżość przeżycia estetycznego. — Zgoda, wystarczyłaby taka procedura, gdyby szkole chodziło o wytworzenie tylko inteligentnych odbiorców produkcji literackiej, inteligentów-spożywców książki, pięknoduszków; a nam przecież chodzi o natury czynne, o wy-

twórców, o bojowników, o jasny i nowoczesny ich pogląd na życie narodów, o silne i utrwalone dyspozycje psychiczne w konkretnym kierunku: w kierunku rozwinięcia tych realnych podstaw życia narodowego, które w nowoczesnym współżyciu ludów przedewszystkiem są zagrożone, a które gdy tworzą fundament mocny, można się już nie lękać — jak wskazuje doświadczenie innych wolnych narodów — o rozkwit nadbudowy intelektualnej.

A niechże — powie kto — o te fundamenty, o takie właśnie strony duszy przyszłych inteligentów, jak poczucie rzeczywistości i rozpęd ku działalności praktycznej, — troszczą się inne, powołane ku temu przedmioty nauki szkolnej. Jest przecież na to „nauka o Polsce współczesnej“. Nie jestem dobrze poinformowany, przez ile miesięcy w kl. 8 prowadzi się ową naukę o Polsce i jak ją się prowadzi, — wiem natomiast, że w ciągu dwu długich lat bezmała — przez medjum niesłuchanie sugestywnej, odurzającej pięknem lektury, wpaja się w naszą młodzież ideologię urojonej wielkości narodowej, usypiania duszy, marzycielstwa na temat narodu, ucieczki od życia, buntu przeciw realnym siłom świata i pretensjonalnego indywidualizmu. I dlatego tak oto paradoksalnie rzecz bym ujął (nie jako konkretny projekt dydaktyczny, lecz dla lepszego zaakcentowania myśli): jabym, nie czekając godzin nauki o Polsce współczesnej, już na lekcjach lit. pol. w gimnazjum wyższym — jako pomoce szkolne — rozwieszał na ścianach klasy nie tylko portrety naszych wieszczów, ale także — tablice statystyczne i wykresy porównawcze, ilustrujące nasze — w zestawieniu z przodującymi społeczeństwami świata — zaniedbania, zaległości i niedobory; niedobory w zakresie tej całej kultury materialnej, tak niesłuchanie lekceważonej przez naszych romantyków, względnie w zakresie materialnych, fizycznych czynników kultury duchowej. Niechby po pierwszej fazie lekcji, fazie wzruszenia estetycznego nad tekstem romantyka-poety, po drugiej fazie, rozbioru literackiego, fazą trzecią stała się poprawka w poznaniu świata, wniesiona przez życie realne i jego — pod grozą nowego upadku — ciężące nad nami potrzeby. Choćby miała na tem ucierpieć czystość i siła wzruszenia estetycznego, z owej pierwszej fazy lekcji szkolnej. Kto powiada: niech polonista tylko estetyzm kultywuje, a resztę pozostawi kolegom od innych przed-



miotów, ten uprawia metodę t. zw. niepoprzebijanych ścianek w umyśle ucznia, metodę szufladek w duszy, ten stwarza nie żywego pracownika przyszłej Polski, lecz poszufladkowaną szafę czy komodę ludzką, mebel, nie człowieka, słowem — życiowego zawalidrogę, a nie twórcę życia.

Wiem, że są wśród nas tacy, którzy umieją w życiu własnym ściśle oddzielać godziny górnych wzruszeń artystycznych od godzin życia praktycznego, mniej lub więcej nieodpowiedzialnego i szarego. Są oni, niczem owi aktorzy, ku którym zwraca się bohater Wyspiańskiego ze słowami: „Wasz umysł tak dzieli Myśli na rolę i nicość powszednią, Że skoro rolę wypowiecie gładko, Deski sceniczne z pod stóp wam uciekną, I rola najpiękniejsza staje się wam brednią“. Czy jednak takie rozdwojenie duszy chcielibyśmy zaszczepiać wychowankom naszym? Szczęściem, natura młodzieńca instynktownie opiera się takiej metodzie, — młodzieńca, jeśli jest zdolny, i jeśli złowrogi system gimnazjum niższego nie zabił w nim takiej natury umysłu, która w tym wieku ma impet przyrodzony ku łączeniu, zestawianiu, porównawczemu ocenianiu, harmonizowaniu wszystkich elementów poznania, dostarczonych czy to przez książki czy przez obserwację życia. Przypomnijmy sobie tylko: sami tacy niegdyś byliśmy, póki jednych nie zjadł scholastyczny akademizm, a i nnych pro prostu ciężar życia nad siły.

*

Ale oto widzę z innej strony kolubrynę, wymierzoną przeciw moim wywodom. Coprawda, nie tak groźną, choć z pozoru wielki to kaliber. Wszakże czytamy w różnych publikacjach (i to nie tylko popularnych), że najwyższą, najszczytniejszą, najprawdziwszą emanacją ducha narodowego polskiego jest ten lub ów lub tamten z trzech wielkich romantyków („jest — cytuję dla przykładu — wzorem ducha i miarą serca, wykreśloną nam od Boga“). A więc zadaniem wychowania narodowego ma być kultywowanie w młodzieży tego ducha — właśnie takim, jak się on wyraził w trzech wielkich poetach, albo przynajmniej w jednym z nich, owym „Wielkim Pierwszym“. Bo jakże? Wyrzec się niejako własnej odrębności psychicznej, oryginalności typu narodowego myślenia? Toż toby znaczyło — niejako wynarodowić się duchowo!

Na szczęście, nikt tego nie dowiedział, żeby właśnie w romantyzmie polskim wyraził się najznamienniej tak zw. duch narodowy Polaków. Jest to fikcja, rozwinięta przez sam romantyzm emigracyjny, fikcja równie nieuzasadniona, jak przekonanie Mochnackiego, że już przez młodzieńczy nasz romantyzm „naród się poznał w swoim jestestwie“, jak wcześniejsze przeświadczenie Brodzińskiego, że znowu idylliczność jest kluczem do tajemnicy naszego ducha narodowego. Poprostu romantycy, tak jak i Brodziński, „wyrzucali swój własny omam poza człowieka“, „znaleźli to, z czym szukali“, — siebie samych odgadli i swój czas, a myśleli, że odkryli „ducha narodowego“. Niedarmo udzieliły się ich pomysły obcym, i po dziś dzień czyta się u Francuzów o jakimś „mysticisme slave“, czy poprostu „mysticisme polonais“, w czym jest, na szczęście, tyleż prawdy, co w owej sienkiewiczowskiej „improductivité slave“.

Do zamieszania pojęć w tej dziedzinie nie mało się z kolei przyczyniła nasza i obca nauka, tym razem młoda nauka socjologii, która — cytuję Znanięckiego¹⁾ — „nie chce się ograniczyć do pozytywnych badań nad ujednostajniającym wpływem instytucji ogólnonarodowych na jednostki; marzy ona o odtworzeniu jakiejś wewnętrznej istoty psychiki narodowej i błąka się wśród mglistych uogólnień“; „jedność narodu nowożytnego polega w znacznie większym stopniu na świadomym uznaniu tych samych wartości i dążeniu do tych samych ideałów, niż na samym abstrakcyjnym podobieństwie myślenia i postępowania“. Otóż to! Wychować, wykształcić ową jedność, tego właśnie „ducha narodowego“ — to nasze dopiero zadanie. Bo w tej chwili, jakiegoż już gotowego — takiego ducha niema. Był — w ostatnich wiekach rzplitej szlacheckiej, bo go wytworzyły wspólne, trwałe instytucje państwowe. Innego ducha, nowoczesnego pragnęła wychować Komisja Edukacyjna, ale nie zdołała tego uskutecznić. Jeszcze innego wychowywała niewola — oraz ideologia romantyczna, czerpiąca siłę z dwu źródeł — z teje niewoli oraz z kultu starszlacheckich tradycji. Była to do szczytów natchnienia wyniesiona i w niewoli, w chorobliwy, choć przepiękny kwiat, wyrosła — ideologia zamierającego pod obuchem losu „narodu starego“.

¹⁾ Wstęp do socjologii 1922. Str. 94.

I oto, jeśli w inteligencji naszej kołace się jeszcze tak silnie ów z romantyzmu poczęty, — rzekomo jedynie prawdziwy — „duch narodowy“, trzeba — nie kultywować go, jako tradycję, — ale przeciwstawić mu się podobnie, jak „duchowi narodowemu“ sarmatyzmu przeciwstawiła się Komisja Edukacyjna, gdy chciała wychować ducha nowego, zdolnego oprzeć się naciskowi nowoczesnego świata. Najgodniejszym, jak sędzę, sposobem uczczenia wielkiej rocznicy Komisji, byłoby rozpocząć wreszcie systematyczny proces rewizji ideologicznych podstaw naszego nowoczesnego „sarmatyzmu“, tym razem — romantycznego.

Oto więc co znaczy wychowanie narodowe, pojęte bez mglistej metafizyki romantycznej: to znaczy stworzenie i wykonanie takiego systemu wychowawczego, który w danych warunkach historycznych najbardziej odpowiada potrzebom narodu i najskuteczniej zabezpiecza jego przyszłość.

*

O ile t. z. ducha narodowego uważają rzecznicy romantyzmu w wychowaniu za sprzymierzeńca, którego trzeba wspierać, — o tyle ducha czasu poczytują za wroga, którego zwalczać i osłabiać należy — właśnie przy pomocy romantyzmu. Kult i wpływ romantyków ma być przeciwwagą na zmaterjalizowanie powojenne, na wzmożoną chciwość użycia za wszelką cenę, na rozpetaną żądzę zabawy, na upadek kultury umysłowej, — słowem na „szalejący bezduch“ albo — żeby użyć patetycznego zwrotu ze szczytowej prozy jednego z naszych współczesnych augurów kultu romantycznego (zwrotu z nieuniknioną poetyczną przestawnią): „czasów nikczemność“. Określenie zresztą ukute na jakiś czas przed wojną światową, bo — to znamienne dla umysłów romantycznych, że — bez względu na okres, w którym żyją — zawsze są skłócone ze swoim czasem. Każdy okres, przeżywany przez romantyka, wydaje mu się okresem — przypomnijmy „Przedświt“ — niebywałej w dziejach świata „ruiny“, „swawoli“, „rozstroju“, „rozbratu“, „anarchji okropnej“.

Niewątpliwie, przeżywamy dziś moment kryzysu — i to na każdym polu: zaogniła się kwestja socjalna, zaostrzyły antagonizmy narodów, spotęgowało się wrzenie umysłów dokoła podstaw dotychczasowych myślenia, działania, tworzenia, wychowywania. Ale ten zamęt i niestałość wszystkiego, poszukiwanie nowych dróg w każdej dziedzinie — to właśnie życie wy-

tężone. I życie twórcze: w naszych oczach całe narody organizują swój byt na nowych, niepraktykowanych dotąd zasadach. „Świat wyszedł z karbów, jaśnie oświecony księżę“. To prawda, ale zarazem wzrosło w świecie poczucie odpowiedzialności, wmożliła się odwaga i przedsiębiorczość, rozgorzała wytężona twórczość społeczeństw. Jeśli takie okresy wszechstronnego napięcia energii życiowej mamy uważać za kryzysy w dziejach, to chyba za czasy „normalne“ uznawaćby trzeba okresy zastoju i bezruchu. Zaprawdę nie jest dziś taki czas „normalny“: jest dziś „czas żywota dla ludzi silnych“. I dla narodów silnych. Zaufajmy tu Słowackiemu, który — wbrew kursującym opiniom — miał w okresie swej dojrzałości — więcej poczucia rzeczywistości i aprobaty dla życia od swoich wielkich rówieśników — i który na taki właśnie czas nie kazał budzić swego Anhellego. Nie budźmy i my anhellizmu romantycznego w duszach naszych wychowanków, skoro napięciem swej energii praktycznej dorównać mają intensywności życia współczesnego świata.

Niewątpliwie, pewne objawy zepsucia i bezducha muszą towarzyszyć zjawisku przetasowania powojennego społeczeństw i rozwichrzenia się walk socjalnych, ale — jak sądzę — jest to rodzaj pospolitego złudzenia perspektywicznego, gdy te objawy uważa się w naszym okresie — w porównaniu z niejednym z poprzednich — za szczególnie niepokojące. Raczejby niepokoić nas winny — inne, istotne niebezpieczeństwa ducha czasu, naprawdę osłabić mogące w duszach powierzonej nam młodzieży hart, energję i odporność. Za takie istotne niebezpieczeństwo uważam przedewszystkiem niesłychane rozwielenie się praktyk okultyzmu i teozofji, praktyk, wciągających lepsze jednostki starszej młodzieży. Odbywa się powolne paraliżowanie żywej energii narodu przez te dziedziny bezwoli i drętwyoty, które w bezkresach każą widzieć „takie światy tam przed sobą, że ten już tutaj grobową żałobą“. A podbojowi temu sprzyja — właśnie ideologia romantyczna i wpływ jej na umysły. Co tu mówić dużo o analogjach! I tu i tam kusi i łudzi to samo zwodnicze oblicze Maji, tu i tam „chodzą światem niewidzialne siły i pilnują człowieka jak dziecka“. Czynią bezwolne dziecko z człowieka, który mieć winien żywe i ciągłe poczucie odpowiedzialności za siebie i naród. To też za drugi, a równie niepokojący objaw ducha czasu uważałbym te coraz liczniejsze książki, które bezpośrednio czy

pośrednio szerzą kult polskiego romantyzmu, już nie estetyczny, lecz ideologiczny, każąc w nim widzieć apostołstwo wiekiuistych prawd, a w jego twórcach tabu nieomyślności lub świętości, strojąc ich postacie w aureolę rycerzy św. Grala. Że żyjemy w okresie renesansu mickiewiczologii, to dobrze — nauka na tem zyska, ale że towarzyszy temu renesans mickiewiczomanji — to, zdaniem mojem, źle. Każda epoka powinna swego Mickiewicza stworzyć, po swojemu go poznać, ale żadna — a zwłaszcza nasza — nie powinna uprawiać kultu religijnego względem wielkich twórców polskiego romantyzmu. A książki takiego osobliwego nabożeństwa ukazują się dziś w drugich i trzecich wydaniach, a podobno w ciągu roku niespełna rozchodzą się nakłady dzieł pseudohistorycznych czy pseudosocjologicznych, rozpatrujące dzieje Polski pod kątem widzenia teorii romantycznej. Oto co — w myśl wywodów wcześniejszych — uważam za szczególnie niepokojące oznaki ducha czasu. Wiem, że i niniejszy drobny mój występ gotowa jaka dusza romantyczna uznać — po swojemu — za jeden z objawów owej „nikczemności czasów“. To nic, ja ze swej strony taką diagnozę właśnie będę poczytywał za symptom choroby romantycznej, bardziej niebezpiecznej, bo w głąb duszy zapadłej, od przemijających fal zepsucia moralnego.

I choć wiem, że to będzie również niepopularne, dodać tu muszę, iż za jednego ze szczególnie dezorjentujących autorów, którego pism mamy właśnie nowe, pośmiertne wydanie, uważam — Stanisława Szczepanowskiego. Jakto? Toć on właśnie jest żywym dowodem wartości wychowawczej romantyzmu! On, człowiek czynu realnego, ekonomista i naftciarz, nowoczesnego typu zdobywca narodowego stanu posiadania, — i on to właśnie jest entuzjastycznym wyznawcą poezji wielkich romantyków! Tak, ale utrzymywać, że oni go na takiego, jakim był, wychowali, to popełniać poprostu ten elementarny błąd, który logicy nazywają *non causa pro causa*. Wychował go takiego, jakim był, inny czynnik: kilkunastoletni pobyt w Anglii, uprawiany tam przezeń angielski kult dzielnego ciała, podziwiany tam i przejęty rozpęd intensywnej pracy gospodarczej, który go wciągnął był w swe tryby (o tem wszystkim można wyczytać we wstępie do I tomu pośmiertnej edycji). A jeśli obok tego uważał naszą literaturę romantyczną za „ewangelję narodową“ (jego własne to

słowa), to poprostu — było to przejęcie się tą jej rolą, którą z natury rzeczy spełniała w dobie niewoli, — a może tęsknota dzielnego Polaka za czemś, coby w ówczesnych opłakanych warunkach można uznać i u nas za wielkie — wtedy, gdy w żadnej innej dziedzinie z obcymi, jako zbiorowość, rywalizować nie mogliśmy.

Kto jednak, idąc w tem za Szczepanowskim dzisiaj — w tak niesłychanie odmiennych warunkach — w dalszym ciągu za ewangelję narodową głosi i zaleca pisma naszych romantyków, ten sprawia, że do czekających nas wielkich a niecierpiących zwłoki zadań będziemy i nadal umysłowo nieprzygotowani; ten umysły paraliżować i w zastoju trzymać chce podobnie, jak to dziś z innej strony czynią t. zw. nauki tajemne. Oto, mojem zdaniem, dwa prawdziwie groźne niebezpieczeństwa ducha czasu.

*

Najcięższą jednak kolubrynę, która wywodom moim zagrażać może, pozostawiłem sobie na sam koniec. Tym razem ciężki to istotnie kaliber — a sprawa, jak zobaczymy, wielkiej prawdziwie wagi. Gorzej, że w tej sprawie pociski czerpie się najczęściej z tak bardzo dostępnego nam tu wszystkim arsenału: — cytaty z poetów. Szczęściem, że u poetów znaleźć można wszystko, co komu potrzebne.

Gdy więc z jednej strony pada: „Narodu duch zatruty — to dopiero bólów ból“, — z drugiej rozlega się wołanie: „Harpjo narodu! siły ssiesz nasze i spalasz je w czczy dym! — Precz ty... chcesz przychylić nam do ust czary trucizną pełnej, czary jadem pełnionej“. — Ale oto lecą coraz cięższe pociski: „Idź innych zwodzić! Tyś duch cudzoziemiec — Tyś idealny Moskal, chybaś Niemiec!“ Lecz do tych protestów kostniejącego romantyzmu miesza się odgłos dawnych dyskusyj zwycięskiej młodości: „Utrzymuje się — w ciągłym obiegu pewna liczba zdań, nie mających gdzieindziej żadnej wartości — Wszystko się koło nich w literaturze od Gibraltaru do morza Białego zmieniło, oni na poetyce szkolnej, jak na kotwicy, stoją nie poruszeni. — Radzą nawet wyciągnąć kordon zdrowia“. — Jednak „nie depccie przeszłości ołtarzy“ — pada przestroga z boku, lecz wraz zagłusza ją z tych samych ust bojowy rytm pobudki: „— po życie sięgać nowe, a nie w uwiedłych —“, gdy w tem przesywa serce do głębi gorka melancholja tych oto słów: „Ręce, za lud walczące,

sam lud poobcina; Imion, miłych ludowi, lud pozapomina... Wszystko przejdzie! Po huku, po szumie, po trudzie Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie“. A na to Konrad żywy: „Złudo wielkości! oto chcesz ująć nas sidłem piękna, co zamarło i zgasło, i jęk chcesz obudzić w piersi naszej, a nie wołanie radości“; gdy oto wreszcie pada pocisk najdotkliwszy: „Głupiec mówi: niech sobie wyschnie źródło w górach, Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach!“

Cios istotnie ciężki! Ma być druzgocący. Bo w zastosowaniu do naszej dzisiejszej dyskusji znaczyłoby to tyle: Kto podrywa w młodych sercach kult i pietyzm dla ideologii romantycznej, ten zasypuje najbardziej ożywcze źródła idealizmu, ten pozbawia wychowawcę najdoskonalszego, najskuteczniejszego, wymarzonego wprost środka do szczepienia na dziczkach dusz młodych płonek wzniosłości moralnej i szlachetności.

A ja myślę, że jest w tem przekonaniu dużo niesprawdzonej sugestji. I to nie tylko sugestji samego romantyzmu. Bo i przyjmowanych na wiarę odwiecznych wmówień starej intelektualistycznej metody wychowania, datującej się niemal od Sokratesa, a ugruntowanej przez Herbartą. Według tej teorii — moralność szczepi, trwale w kierunku etycznym dyspozycje uczuciowe budzi — wiedza, słowo, deklamacja, lektura, książka. Myślę, że legenda wpływu Plutarcha na tem uprzedzeniu ugruntowana. Dawniej Plutarcha, dziś poetów. Zdaje mi się, że na tem samem intelektualistycznym założeniu opiera się i panująca dziś wszechwładnie w nauce metoda badań literackich. Owa osobliwa genesis: na początku była książka, ta książka zrodziła sto nowych książek, a te sto — tysiąc innych i t. d. Ale dusza młodego twórcy-dziecka (jak i dusza dorosłego twórcy-poety) niezawsze tak jest skonstruowana, jak umysł i dzieła niektórych uczonych — żywy (a raczej martwy) dykjonarz tego, co kto kiedykolwiek i gdziekolwiek na dany temat w książkach napisał. Przez duszę kształcącego się młodzieńca przepływa nurt życia zbiorowego (społecznego i szkolnego), nurt, po którego tylko wierzchu książki unoszą się niby piana. Książka, a więc i poezja książkowa, może w wychowanku zrodzić tylko wiedzę, tylko myśl, pogląd, uprzedzenie — jako trwalsze pierwiastki; może zrodzić jeszcze coś, o czem za chwilę będzie mowa (o nietrwałym nastroju uczuciowym i obrazie literackim nie mówię);

książka i poezja, osłabiając poczucie rzeczywistości, może wytworzyć raczej pierwiastek hamujący czynu, a nie pobudzający. Dlatego ostrzega się wyżej przed niebezpiecznym wpływem poematów romantycznych, wpływem umysłowym, nie moralnym, i zaleca się przeciwdziałać ich ideologii. Ale, jeśli chodzi o rzekomy dodatni wpływ moralny lektury romantycznej, o to, jakoby dawać ona mogła skuteczne pobudki działania, stwarzać nie przemijające impulsy, ale trwałe dyspozycje woli, czyli urabiać charakter moralny — jest to poprostu złudzenie. Charakter powstaje z innych zgoła źródeł. Daremnie chce kształcić go na lekturze najwznioślejszych poematów. „Nauczanie moralne — cytuję psychologa i pedagoga, profesora uniw. w New Yorku, Johna Dewey, — nauczanie moralne sprowadza się wtedy do wyciągania morałów — zamiast tego, aby pogłębić w dziecku świadomość związków, które je łączą z całością społeczeństwa, ideałów, które społeczeństwo to stawia sobie, i środków, którymi rozporządza do ich urzeczywistnienia. — Gdy na braki i niedomagania naszego położenia politycznego i ekonomicznego — mówi tenże Dewey — patrzeć ze strony moralnej, widzi się, że są one nietylko następstwem przewrotności moralnej jednostek lub ich niewiedzy, na czym polega cnota, — ile raczej skutkiem tego, że ludzie nie zdają sobie sprawy, jak ich czyny odbijają się na środowisku społecznym, w którym żyją“. Tylko wtedy szkoła szczepi żywą moralność, — dowodzi Dewey — „jeżeli metody, które stosuje w wychowaniu, odwołują się do działalności i potrzeby tworzenia, każąc dziecku nietylko wchłaniać, ale pozwalają mu twórczo się wypowiadać; jeżeli program szkolny jest tak ułożony, że daje dziecku jasne wyobrażenie o społeczeństwie, w którym ono żyje, oraz o tem, jaki ma brać udział w rozwoju tego społeczeństwa“¹⁾.

Jakiż stąd wniosek co do wartości wychowawczej lektury szkolnej? Nie ta lektura najsilniej oddziaływa moralnie, która — jak nasza romantyczna — wprawdzie budzi najwznioślejsze mądrzenia lecz zarazem stwarza najbałamutniejsze wyobrażenia o realnych siłach życia zbiorowego, — ale ta lektura (względnie tak prowadzona lektura), któraby dyspozycje woli młodego czytelnika zwracała ku konkretnym, realnym życiu zbiorowego

¹⁾ John Dewey. Szkoła i dziecko (przekł. polski). Str. 150—5 i passim.

potrzebom. Tak pojęta psychologia wychowania, którąby można nazwać woluntarystyczną, coraz bardziej wypiera w przodujących krajach dawny pedagogiczny intelektualizm. Coraz to mniejsze budzi tam zaufanie, jako środek wychowawczy, ideologia choćby najszczytniejsza, lecz oderwana od życia aktualnego — i nie mogąca dla zdrowej woli znaleźć w niem bezpośredniego zastosowania.

Może to współczesne życie narodów, na takich założeniach wychowawczych oparte, ten ich wyścig wzajemny — i to na wszelkich polach — wydać się może jakąś dręczącą i przykrą zmorą dla niejednej duszy romantycznej, — ale na to niema rady: w tym świecie żyjemy, i w tym — jedynie prawdziwym — żyć będą i nadal oraz utrzymywać się przy życiu wszystkie przodujące w tym wyścigu narody. A te narody przodujące nie kształcą swej młodzieży na bezkrytycznym pietyzmie dla dawnej literatury romantycznej.

Kiedy, tak bardzo dziś u nas poczytny, wielki Hindus Tagore wybrał się był w swoim czasie z odczytami do Japonji, gdzie, jak sam mówi, „zaklinał młody ten naród, by murem stał na fundamentach swych wysokich, wszechludzkich ideałów, by nie naśladował Zachodu, przejmując od niego, jako religię, zorganizowane samolubstwo,“ — słuchacze chwalili jego przemówienia, mówili o ich piękności poetyckiej i — dodawali, że jest to poezja narodu zwyciężonego.

Copravda pouczają nas polscy romantycy, że wobec wieczności zwyciężeni mają słusność, — ale nie chcemy sprawić, żeby naród, który tworzymy i kształtujemy w osobach naszej młodzieży, miał się stać kiedykolwiek narodem zwyciężonym — i to na jakimkolwiek polu działalności ludzkiej. I niech nas nie trwoży, że te twarde słowa brzmią tak, jakby je wyrzekł ów „Uragacz wiekowy, Który od wieków tę myśl w ludzkość kładnie, Że jest jako liść lasów coraz nowy, który, gdy spadnie, to — na wieki spadnie“.

*

Czem tedy zastąpić w nauczaniu szkolnem polską poezję romantyczną? I tu szkopuł największy. Bo niestety — nie mamy czem zastąpić. Jest to naszym fatalizmem, że najgórniesza i najpiękniejsza pieśń dobyła się z duszy polskiej wtedy, gdy losy dziejowe były w nią najstraszliwiej. Pod ciosami nieszczęść nie-

woli pieśń ta się zrodziła — i dlatego w tej wielkiej poezji — utajona jest też i niebezpieczna psychologia niewoli. Musimy jednak ten nasz fatalizm zaaprobować. Bo wprawdzie literatura staropolska owych toksyn niewoli nie zawiera (a nikt mię o uprzedzenie do niej nie pomówi), — ale bardzo a bardzo niewysokie jej loty i niezmiernie ubogie horyzonty. Bliższa nam znowu wiekiem — literatura poromantyczna — w istocie jest równie dżiś nam daleka, bo tak w spojrzeniu na świat niewspółmierna z temi nieobjętymi perspektywami, które ostatni przełom dziejowy przed nami roztoczył. Wątpię, czy dużo jeszcze mamy z niej do wybrania dla szkoły — dzieł duchowo pożywnych a nieprzemijająco wielkich. Wyjątkiem — Wyspiański (jego też Wyzwolenie dałbym — mimo nastęrczających się trudności — z pewnemi skróceniami — do lektury podstawowej). Poza tem da się zapewne wciągnąć do programu ten lub ów jeszcze utwór nowocześnie (naprzykład, Żeromskiego Wiatr od morza lub Między morze), ale — to wszystko razem romantyzmu nie zastąpi. Literatura powszechna? Dla dwu oczywistych powodów i ona nie zastąpi nigdy w szkole romantyków naszych: jeden — to to, co Croce poprostu określa, jako „impossibilità delle traduzioni“, to, że — niestety — Szekspir nie tylko „w księdzu Kefalińskim znika“; drugi zaś powód? oto że młodzi obywatele polscy powinni przemóc (jak się to mówi „przezwyćczyć“) literacki romantyzm swojego narodu, aby im potem w życiu dojrziałem drogi nie zastąpił, a zastąpiwszy — ich nie przemógł. Aby zaś go przemóc, muszą go jednak poznać. Poznając zaś, wziąć z niego także na własne dobro to, co jest w nim niewątpliwie pożywne dla ducha. Nie wspominam już o walorach jego formalno-artystycznych i o jego bogactwie językowem — to się samo przez się rozumie. Ale poza tem — cóż tam jeszcze dla młodego ducha pożywne? Skoro, jako się rzekło — ani ideologia, ani pozorny wpływ umoralniający.

Czy pamiętacie ów dziwny sen Mickiewicza z korespondencji ostatnich lat? Tajemnicza zjawa nauczyła go pieśni, ale zabroniła dawać rodakom słów, tylko samą nutę. Otóż tę nutę pieśni romantycznej mamy przedewszystkiem dawać młodzieży, ton jej, styl jej wysoki: — to znaczy tę sferę zagadnień, tę jej skalę szeroką i to wielkie ujęcie przeżyć, — to wszystko, czego — na taką miarę — daremnie szukać w poezji polskiej poza ro-

mantyczną, a w obcej poezji — w przekładach samych nie znajdzie. Niech się młodzież uczy myślał bytować na tych wyżynach, niech ogarnia doniosłość i dorasta charakteru tych spraw ducha, które tam się toczą, niech dosięga duchem do strefy tej poezji. To jest właśnie jej tonem, stylem, „nutą“, to jest w niej strawą pożywną dla ducha. A co do „słów pieśni“ — co do jej treści, ideologii, poglądu na świat i na dzieje? „Słów“ tych — „nie dawać“! To znaczy: nie podawajmy ich na wiarę autorytetów — uczmy je brać krytycznie, nieufnie — bo ta strona pokarmu mniej pożywna, ba, często dla zdrowia dusz, dla zdrowia narodu — niebezpieczna.

Czy jednakże możliwe jest takie rozdwojenie? Dorastanie duchem do miary, a odrzucanie — gdzie trzeba — treści, ba! więcej: na tamtą miarę wysoką stwarzanie w sobie innej treści, potrzebniejszej, ze stanowiska dzisiejszego życia — prawdziwszej? Możliwe; — niejeden z nas zna takich czytelników. Zbyteczne mówić, że nie ma taki stosunek do romantyzmu nic wspólnego z owym chorobliwym estetyzmem aktorskiego typu, o którym wyżej mówiłem, a który gotów tu z przekąsem zacytować Norwida: „ani sól ziemi do przypraw kuchennych“...

Dałbym w ten sposób młodzieży to z romantyzmu polskiego, co w nim n a p r a w d ę wieczyste i niepożyte. A wieczyste w nim są te wielkie zagadnienia, które stawia człowiekowi, życiu i światu, nie zaś — ich rozwiązanie, które zawsze było i jest przemijające. Pytania, które stawia romantyzm polski czytelnikowi, są wieczyste, ale nie są takimi — udzielone przez romantyzm — odpowiedzi. Te stwarza sobie każdy myślący człowiek i każda epoka wielka na nowo i po swojemu. Więc nie odpowiedzi dać gotowe ma romantyzm młodemu czytelnikom, ale obudzić w ich umysłach odwieczne „pytania“ ludzkości, ożywić zmysł do rozumienia wagi tych pytań ¹⁾.

¹⁾ Oto może jeden jeszcze przyczynek do psychologii i dydaktyki pytań w szkole, do sporu o metodę heurrezy. Największymi przeciwnikami „pytań“ bywają bodajże ci, którym się zdaje, że na wszelkie pytania powinna być raz na zawsze gotowa odpowiedź, którzy nie rozumieją, że obudzenie pewnego pytania w młodym umyśle, uświadomienie mu samej możliwości istnienia takiego pytania, jest nieraz dzielniejszym środkiem pedagogicznym, niż zaszczepienie gotowej wiedzy.

Tak zatem, nie ze względu na ideologię swoją ani na rzekomy umoralniający wpływ — ale ze względu na swój klimat duchowy i na tę atmosferę, w którą młode umysły wprowadza, — polska poezja romantyczna jest niezastąpiona i nieoceniona. — I dlatego — mimo wszystko — główne i najobszerniejsze miejsce w naszym programie szkolnym zachować powinna.

A co do niepożądaney jej ideologii — to tę można najpierw w doborze lektury — potrosze ominąć, a potem — w interpretacji przemóc. Choćby przytem przyszło „zatracić niejednen rys miły i wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie“.

A więc najpierw — co do projektowanych zmian w wykazie lektury. Powinno to być, rzecz prosta, przedmiotem długiej narady zbiorowej. Ja zaś tymczasem ze swej strony ośmieliłbym się poczynić następujące propozycje (mając ciągle na uwadze program wydziału humanistycznego).

Przedewszystkiem więc — cobym z programu usunął — dla motywów obszernie wyłożonych wcześniej? Oto: Księgi Narodu — w całości. Księgi Pielgrzymstwa — to samo, a w najlepszym razie dałbym z tych ostatnich wypisy bardzo nieliczne — o charakterze raczej aforystycznym, ze starannem pominięciem wszystkiego, co trąci duchem apostołstwa, misji dziejowej i narodowej megalomanji. Dziadów drezdeńskich narazie nie ruszę, choć miałbym chętkę i tu poczynić niejaki szczyrby. Wszystko więc inne, co program obecny zawiera z Mickiewicza, w ten sposób by i nadal pozostało. Co do wyboru z prozy Mickiewicza, o czem wspomina wykaz lektury uzupełniającej, to — mojem zdaniem — żaden z istniejących w tym zakresie wyborów nie nadaje się tu do użytku szkolnego; byłaby to z tem zresztą sprawa wogóle trudna, bo to, co — według mojego przekonania — najcelniejsze w Kursach — a więc uwagi, dotyczące teorii poznania i psychologii czynu, — to przeważnie nie należy do rzeczy, dla poziomu szkolnego dostępnych. Gorsza, że brak nam także i odpowiedniego wyboru z pism Filomatów — to znaczy wyboru, któryby możliwie szeroko uwzględnił właśnie ich „organicznictwo“. (To nic, że się obecnie pisuje o „przewyciężeniu filomatyzmu przez Mickiewicza“; nadejdzie czas, gdy się raczej będzie mówiło — o wyboczeniu Mickiewicza z linii filomatyzmu pod wpływem choroby romantycznej, spotęgowanej niedolą narodu).

Z Krasińskiego — zostawiłbym w programie tylko Nieboską i Irydjona. To nic, że w ten sposób, po usunięciu Ksiąg Narodu i Przedświtu — przepadłby dla ucznia cały mesjanizm romantyczny wraz ze swym „szczytem i koroną“, to nic, że Krasiński zostałby tylko jako fragment całego swego rozwoju, — możnaby (komu to potrzebne) dopełnić to wszystko informacjami. A zresztą — zupełności obrazu pewnego kierunku literackiego lub obrazu rozwoju pewnego poety domaga się dziś w programie szkolnym tylko ten, kto dotknięty jest czemś, co jeszcze Staszyc, mówiąc w swoich Uwagach o szkolnictwie, nazwał był „szkodliwą zarazą systematycznego ducha“.

Zyskawszy w ten sposób na Krasińskim, rozszerzyłbym za to — i to może nie będzie niespodzianką — lekturę Słowackiego. Tak, prawdziwie — jego to przyszłość i zwycięstwo za grobem. On jeden długo zwalczał romantyzm w sobie i poza sobą, choć zapewne — gdy o siebie chodziło — nie zawsze skutecznie (tem jednak ciekawsze te jego walki, że ustawnemi klęskami znaczone), on jeden z wielkich tak długi, surowy stawiał opór temu, co w ideologii romantyzmu było najbardziej chorobliwe, on jeszcze i potem zakładał protest przeciw „przemianianiu ziemskiej doli w żywot ducha na księżycu“; — kiedy zaś wreszcie przyjął za swoją całą romantyczną filozofję, uniósł ją na takie wyżyny poezji, w takie ubrał tęcze i kolory, w tak prześwieconem skąpał powietrzu, że zatraciła swego „ducha ciężkości“, swoją tendencję i retoryczność doktrynerską i natręctwo publicystyki, które tak rażą i bałamuca w Psalmach przyszłości lub w Resurrecturis (notabene, na szkodliwość ideologii tego ostatniego utworu, nawiasem mówiąc wymienionego w „uzupełniającej lekturze“, wskazywał nie tak dawno prof. Chrzanowski ¹⁾). — Na miejsce więc usuniętych utworów Krasińskiego — z epoki jego dekadencji twórczej i myślowej — dodałbym do programu ze Słowackiego: i I rapsod Króla Ducha w całości (do lektury zasadniczej), i Samuela Zborowskiego w urywkach, i — ah, gdybyż się doczekać szkolnego wydania, sporządzonego do współki przez filologa i biologa — z ilustracjami — dałbym Genезis z Ducha (za to pod żadnym pozorem — Księdza

¹⁾ Zob. w tomie Z epoki romantyzmu str. 305.

Marka!). Z wcześniejszych zaś utworów nie pominąłbym Mazepy, natomiast (istny wandal!) zupełniebym opuścił szcudłowego Kordjana (choć żal mi w nim bardzo sceny ze Strachem i Imaginacją; — mniej zaś żal owego „systematycznego ducha“, czując, jak bardzo musi cierpieć na samą myśl o takim uszkodzeniu obrazu linii rozwojowej poety). W ten sposób, jak wyżej, wzmocniony Słowacki — otwierałby naszemu „ciemniaczkowi-ślepotce“ wzrok na wysokie sprawy ducha, lecz wzamian nie zasklepałby mu głowy ciasną doktryną, nie przeszkadzałby mu — rozumieć, że chociaż dzisiaj „słońce to samo świat cały ośłaca, Ale świat nowy, nowa na nim praca“.

Oto te zmiany w programie lektury romantycznej, któreby, mojem zdaniem, wzmogły w nim to, co wyżej uznałem za wielkie i pożywne w romantyzmie, osłabiłyby zaś to, co w nim dla szkoły niepożądane.

Ale tylkoby osłabiły, nie usunęły. I tu druga sprawa — interpretacji — takiej, któraby, jako się rzekło, pozwoliła nie tylko poznać romantyzm uczniom naszym, ale go i przemóc. Pierwszą zasadą tej interpretacji byłoby: Pietyzm dla ogromu ducha, jego skali, głębi czy siły, kult dla wielkości artyzmu, dla mistrzostwa słowa, ale — ani śladu ducha bałwochwalstwa, ani cienia korności przed tabu, ani słówka w stylu zachłystującej się czci dla t. zw. wieszczów, proroków, apostołów, świętych polskich, budowniczych „prawdziwej“ Polski, wodzów do ziemi obiecanej wiecznej szczęśliwości świata etc. etc. O ile to wszystko było potrzebne w dobie niewoli, nie tu miejsce oceniać. Teraz tego rodzaju stosunek musi nareszcie ustać. Bo to tworzy sugestję nieumylności, wiarę w wiekiistość, w prawdę nieodmienną wszystkiego, cokolwiek poeci ci głosili o człowieku, o Polsce, o świecie, w rzekomą prawdę ich właśnie odpowiedzi przemijających, — nie ich wiekiustych pytań. A wobec tej ideologii niezbędny dziś — jakim wyżej wywiódł — surowy krytycyzm. Tu musi znaleźć zastosowanie przy interpretacji szkolnej metoda pragmatyczna, biorąca za jedyny probierz prawdy to, czym jest w obecnej chwili naród nasz w świecie, do czego obecnie dąży, do czego musi dążyć, aby nie zginąć. W takim właśnie duchu dyskusję w klasie nad ideologią utworów romantycznych powinien nie tylko popierać nauczyciel, ale wręcz budzić ją i podsycać. Nigdy nie poprzestać na dwu ogniwach: to jest na lek-

turze i analizie ściśle literackiej. Zawsze w łańcuch lekcji szkolnej wplatać i ogniwo trzecie: dyskusji praktycznej, życiowej.

Wiem, że tak pojęta metoda, metoda pragmatyczna w interpretacji lektury szkolnej, ma poważnych przeciwników. Dydaktyką „mówienia o wszystkim“ nazwano ją z przekąsem przy okazji pewnej recenzji w organie urzędowym. Jabym zaś tę inną dydaktykę, jak ognia wystrzegającą się zahaczenia przy rozbiore poematu romantycznego o życie bieżące, dzisiejsze potrzeby narodu, — tę dydaktykę, co nie uważa za swój obowiązek wskazać wprost nauczycielowi na konieczność ujmowania literatury właśnie i z tej strony, co go przeciwnie — choćby nieżyczliwym tego przemilczaniem — do tego zniechęca, — taką dydaktykę — nazwałbym dydaktyką końskich okularów. Są to, jak wiadomo, takie dwie klapki skórzane na oczy, które pozwalają patrzeć tylko przed siebie — w danym wypadku w książkę, — ale nie wiedzieć, co się dzieje z boku — w życiu bieżącym. Słyszałem, że przyjaciele zwierząt domowych dawno uznali owe okulary u konia za wynalazek szkodliwy. Czasby zaniechać końskich okularów i przy interpretowaniu poezji. Czasby zaprzestać pouczać młodych nauczycieli-polonistów, że ich lekcja literatury w klasie szkolnej powinna być celebrowaniem nabożeństwa na cześć „polskich świętych“¹⁾.

Tak więc, mimo pozorów, nic się nie zmieniło: dawny intelektualizm triumfuje w szkolnej interpretacji romantyków. Mimo pozorów — mówię: bo sama tylko heurystyka, metoda pytań, o ile nie wychodzi poza granice spopularyzowanego akademizmu, o ile nie wiąże lektury szkolnej na każdym kroku z życiem ucznia, z życiem klasy, z życiem obecnego i przyszłego obywatela narodu, — pozostaje intelektualizmem postaremu. I to najniebezpieczniejszym jego typem, bo okraszonym przez heurzę, a więc z pozoru przezwyciężonym. Prawdziwe i skuteczne zerwanie ze starą metodą kształtowania umysłów książkowych stanowi dopiero metoda, zespalająca dynamizm socjalny z pragmatyzmem, metoda, którą za Ferrière'm, szwajcarskim teoretykiem i historykiem ruchu reformatorskiego w szkolnictwie, a właściwie za jednym z niedzisiejszych już tego ruchu promotorów i prak-

¹⁾ Por. str. 216 urzędowych „Wskazówek metodycznych“ do programu języka polskiego na gimnazjum wyższe (Warsz. 1923) i passim od str. 190.

tyków, Paulem Robin — nazwałbym metodą integralną¹⁾: nie poprzestaje ona na samej heurezie, ale nadto wprowadza typ pracy zbiorowej na lekcji szkolnej, pracy odtwarzającej naturalny tok zbiorowego działania w społeczeństwie, wraz z pierwiastkiem i wzajemnego współdziałania i podziału pracy, a obok tego — na każdym kroku nawiązującej nieustanny kontakt z realnym, rzeczywistym życiem społeczeństwa.

Co prawda, nie mamy dotąd ani jednego podręcznika w zakresie nauczania literatury polskiej, któryby był zupełnym i konsekwentnym przeprowadzeniem tej integralnej metody nauczania²⁾, nie mamy nawet wskazówek dydaktycznych, prawdziwie w tym duchu pojętych, szkoda jednak — że dzieło urzędowe, z którego czerpać ma wskazania współczesne pokolenie nauczycieli-polonistów, tak daleko odbiega przynajmniej od tych postulatów, uzasadnionych wyżej, których zastosowania w wychowaniu szkolnym domaga się wielkim głosem życie nowoczesnych społeczeństw.

*

Kończę nareszcie. Nie wiem, czy zrozumiano mię dobrze. Chodzi przecież nie o rezygnację z idealizmu, który jest, był i zawsze będzie jedynym motorem trwałej wielkości dzieł jednostkowych i zbiorowych. Ale — współczesny idealizm, jeśli nie ma zawisnąć w obłokach, oprzeć się musi mocnymi stopami o świat współczesny.

Chodzi nie o stwarzanie Sanczopansów, bo ci być mogą tylko „zjadaczami chleba“, ale nie pora też na „anielstwo“ Donkiszotów, skłóconych podawnemu z własnym czasem. A świat dzisiejszy — to już nie pora błędnego rycerstwa, zbawiającego uciśnioną ludzkość, ani nie pora „na powietrzną walkę o narodowość“.

To też dziś trzeba nietylko porywy farysowe budzić, ale także ukazywać młodym farysom te realne przeszkody, które przychodzi narodowi pokonywać, trzeba ich chronić od pokusy odbieżenia znowu w pustynię romantyczną. Trzeba Wenedom tak dusze zahartować, aby ich już więcej harfa złota nie uwiodła. Trzeba ich pouczyć, w jaki to inny sposób dziś można i trzeba

¹⁾ Ad. Ferrière. *L'école active*. 1922. Tom II, s. 57 i passim.

²⁾ Szerszemu omówieniu tej metody poświęcę przedmowę części drugiej mojego podręcznika.

swój naród, jak pieśń żywą stworzyć, nie pieśń szczęśliwą może, ale pieśń wielką.

Myślę, że nadchodzą czasy nowego romantyzmu. Romantyzmu życia. To znaczy postawienia sobie przez naród takich zadań, jakich nigdy dotąd sobie nie stawiał, i zadań tych wielkich radosnego ziszczania wśród heroicznego trudu ziemi. Myślę, że zjawią się z czasem i poeci tego nowego romantyzmu. Bo jest w samej myśli o nim szeroki oddech wielkiej poezji.

A tymczasem serca bojowników przyszłych tego żywego romantyzmu trzeba strzec przed tem wszystkim, co w starym, pisanym, romantyzmie jest z mroku i z cienia i ze zjadliwych oparów niewoli, a uskrzydlać młode dusze tem tylko, co jest w nim słoneczne i ożywcze.



F
8158